

JANUSZ LIPKOWSKI

ORCID: 0000-0002-2573-2414

Garść wspomnień z mojej działalności w sferze nauki

Memories of my activities in the field of science

Streszczenie: Celem artykułu jest przedstawienie ważniejszych zagadnień związanych z przebiegiem działalności w sferze nauki profesora Janusza Lipkowskiego, fizykochemika, członka rzeczywistego Polskiej Akademii Nauk, prezesa Towarzystwa Naukowego Warszawskiego 2007–2020, a w latach 2003–2006 wiceprezesa PAN. Opracowanie ma charakter autobiograficzny i stanowi fragment pracy, która opublikowana zostanie w 2022 r. w serii *Fontes rerum ad historiam scientiae spectantium* Instytutu Historii Nauki Polskiej Akademii Nauk.

Słowa kluczowe: profesor Janusz Lipkowski, fizykochemia, Instytut Chemii Fizycznej PAN, Towarzystwo Naukowe Warszawskie

Summary: The aim of the article is to present more important issues related to the course of activities in the field of science of Professor Janusz Lipkowski, physicochemist, real member of the Polish Academy of Sciences, president of the Warsaw Scientific Society 2007–2020, and vice-president of the Polish Academy of Sciences in the years 2003–2006. The study is autobiographical in nature and is part of a work that will be published in 2022 in the series *Fontes rerum ad historiam scientiae spectantium* of the Institute of the History of Science of the Polish Academy of Sciences.

Keywords: professor Janusz Lipkowski, physicochemistry, Institute of Physical Chemistry of the Polish Academy of Sciences, Warsaw Scientific Society

Swoje krótkie notatki koncentruję na sprawach organizacyjnych, które nie były moją pasją wprawdzie, ale w wielu sytuacjach okazały się koniecznością, wobec której się znalazłem¹. Zaczę od Instytutu Chemii Fizycznej (IChF), w którym wykonałem i obroniłem pracę doktorską, potem habilitacyjną (po rocznym stażu naukowym we Włoszech) i stopniowo organizowałem pracę zespołu, jakim mi przychodziło kierować. To działo się w latach 1968–1992. Byłem już samodzielnym pracownikiem nauki i kierownikiem dużego zakładu. Nie myślałem o dalszej karierze organizacyjnej, ale wtedy w kraju dużo się działo.

Dyrektor Instytutu

W czasach zwanych obecnie „słusznie minionymi” przyszedł moment, kiedy IChF-owskie „tygrysy” (profesorowie Baranowski, Stecki i Grabowski) uznały, że należy skończyć z „partyjną dyrekturą” Wojciecha Zielenkiewicza i zabrali się za to energicznie. Wymusili na nim złożenie rezygnacji (nie znam szczegółów) i doprowadzili do wyborów dyrektora. Mnie indoktrynowali, bym zgodził się kandydować. Nie odmawiało się Im...² Kandydatów było trzech. Oprócz mnie: teoretyk, prof. Jan Popielawski, oraz profesor Waclawek, który marzył o powrocie z Opola do Warszawy. Instytutowa „Solidarność” stawiała na Popielawskiego. Na posiedzeniu wyborczym Rady Naukowej bardzo zmobilizowała się i postawiła na swoim³. A po wyborze prof. Popielawski zaproponował mi funkcję swojego zastępcy. To był porządny gość. Nie było powodu, by mu odmawiać, więc zostałem wicedyrektorem ds. naukowych.

Z okresu współpracy z prof. Popielawskim najbardziej pamiętam starania o przywrócenie ścisłej kooperacji Instytutu z uczelniami. IChF PAN powstał w 1954 roku jako dodatkowe laboratoria wybitnych profesorów uczelnianych. Świetnie to działało. Studenci i pracownicy naukowcy „przeplýwali” tu albo tam, zależnie od potrzeb. Zaś kadry naukowe Instytutu miały ciągły kontakt z młodą kadrą uczelni i studentami. Pomysł, by do tego powrócić⁴, wydawał się idealny.

¹ Fragment autobiografii przygotowywanej do druku w Instytucie Historii Nauki PAN w serii *Fontes Rerum ad Historiam Scientiae Spectantium*. Planowane wydanie – rok 2022.

² Sprawa była skomplikowana, bo nie miałem wtedy jeszcze tytułu profesorskiego. To wkrótce nastąpiło, w 1990 roku otrzymałem dyplom z rąk ówczesnego prezydenta, Wojciecha Jaruzelskiego, ale procedura wyborcza w IChF odbyła się nieco wcześniej.

³ Ale było dla mnie „honorowo”. W głosowaniu Popielawski i ja dostaliśmy po 17 głosów (o ile dobrze pamiętam liczby, w każdym razie dostaliśmy taką samą liczbę głosów w I turze), a trzeci kandydat 3 głosy. W II turze niewielką przewagą wygrał Popielawski.

⁴ Ten system został zniszczony w 1968 roku po wydarzeniach marcowych. Władze polityczne uznały, że należy odsunąć „nieprawomyślnych” profesorów od kontaktu ze studentami. Zrobiono to tak, że wydano prawo zakazujące łączenia funkcji profesorskich uczelnianych z instytutowymi, przy czym to władza wtedy decydowała, kto może zostać na uczelni, a kto w instytucie. I tak, z powodów politycznych, zlikwidowano znakomicie działający system, którego do dziś nie udało się przywrócić. Dodano do tego trochę propagandowych chwytów konfliktujących ze sobą oba środowiska.

GARŚĆ WSPOMNIENI Z MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W SFERZE NAUKI

Dziekanem Wydziału Chemii UW wtedy był wybitny profesor, Włodzimierz Kołos. Człowiek o niebywałym autorytecie i znakomitych horyzontach umysłowych. Zaprosił nas (Popielawskiego i mnie) na posiedzenie Rady Wydziału Chemii UW w Warszawie, na którym miała być omawiana sprawa współpracy IChF z Wydziałem. Poszliśmy tam pełni optymizmu, ale wróciliśmy zszokowani. Wybuchła okropna awantura – „chcą nam zabrać najlepszych studentów” i dalej w tym stylu. Nie do wiary! A prof. Kołos, który był wtedy wybrany dziekanem prawie jednoznacznie, w następnych wyborach przeszedł wprawdzie, ale ledwo, ledwo... Jakiś nonsens i horror, ale nic nie dało się zrobić, mimo niezwykle subtelnych, późniejszych inicjatyw.

W początku 1992 roku byłem zaproszony do Cape Town na sympozjum z referatem i na koszt Organizatorów, więc, oczywiście, pojechałem. W trakcie konferencji dotarła do mnie wiadomość, że prof. Popielawski nagle zmarł na atak serca, po powrocie z krótkiego wyjazdu na narty. Okropna wiadomość, to był człowiek „w sile wieku”...

Prof. Jerzy Haber, podówczas szef Rady Naukowej Instytutu zaproponował Radzie, by do końca kadencji powierzyć obowiązki dyrektora zastępcy ds. naukowych, czyli mnie. I tak się stało. Zostałem dyrektorem w dramatycznych okolicznościach. Potem ten wybór był parokrotnie odnawiany, już w trybie normalnych wyborów.

Instytuty Akademii Nauk w momencie utworzenia składały się z wybitnych zespołów. To było w połowie lat 50. XX w. Potem, w miarę normalnej ewolucji to się zmieniało, a nie funkcjonował żaden ustawowo zdefiniowany mechanizm utrzymania najwyższej jakości. W roku 1992 było to widoczne, w IChF były świetne, wybitne zespoły obok takich, które zdecydowanie wymagały odgórzniej ingerencji. To stało się moim głównym zadaniem: kulturalna eliminacja słabych grup oraz wprowadzenie „systemu jakości”.

Bardzo pilną sprawą było zapewnienie Instytutowi funduszy, bo państwowe finansowanie bardzo się skurczyło. Niektórzy nawet uważali, że troska o finanse przyczyniła się do nagłego odejścia z tego świata świeżo ustanowionego dyrektora. Unia Europejska występowała z pomysłami, jak wspomóc naukę w naszych krajach, a jedną z form współdziałania były specjalne konferencje. Wtedy dostałem zaproszenie na jedną z nich, w Budapeszcie, całkowicie na koszt organizatorów. Z programu wywnioskowałem, że sam nie dam rady dobrze się rozejrzeć w programie, więc zapytałem, czy mogę przyjechać z kimś. Dostałem zgodę i pojechaliśmy oboje, razem z profesorem Anną Grabowską, którą wtedy zaprosiłem na stanowisko wicedyrektora do spraw naukowych. By nie nadużywać funduszy europejskich pojechaliśmy służbowym samochodem, prowadziliśmy na zmianę. A pani Grabowska знаła dobrze żonę polskiego ambasadora w Budapeszcie i załatwiła nam pobyt w rezydencji ambasady – tam jest spory, przyjemny hotel.

Impreza była dość interesująca z początku, ale szybko okazało się, że nas ucza, jak wypełniać formularze, za duże pieniądze, a było tam kilkaset osób. Nasz oszczędny wariant podróży wzbudził lekkie niedowierzanie, bo wszyscy latali samolotami i mieszkali w nietanich hotelach, nie licząc się z kosztami, a organizatorom to absolutnie nie przeszkadzało.

Byliśmy też na pogawędce u pana ambasadora i wkrótce wracaliśmy do domu.

Szkoła Nauk Ścisłych

Sprawa odnowienia kontaktów Instytut – uczelnie, musiała jednak wrócić w tej lub innej formie. Z wydziałami chemii Uniwersytetu i Politechniki Warszawskiej zawarliśmy formalne porozumienia o współpracy, ale jak już wspomniałem wyżej, nie było entuzjazmu po stronie uczelni. Dlatego z wielką sympatią powitałem koncepcję zorganizowania niepaństwowej wyższej uczelni w Warszawie pod nazwą Szkoła Nauk Ścisłych (SNS), wspólnie z Instytutami Fizyki i Matematyki PAN. Doszło do tego, dzięki znakomitej współpracy uczonych z Instytutów wyżej wspomnianych wraz z IChF, który odpowiadał za chemię.

Głównym autorem i organizatorem chemii w Szkole Nauk Ścisłych był profesor Zbigniew Ryszard Grabowski, przy bardzo aktywnej współpracy profesorów Aleksandra Zamojskiego (IChO PAN) i Jana Steckiego (IChF PAN). Oni stanowili trzon „ojców założycieli” SNS. Potem do tego grona „zapisywali się” inni, w tym np. Robert Hołyst⁵ (w drugiej fazie delegowany przez prof. Steckiego), czy też Jerzy Herbich (bardzo zasłużony – o tym za chwilę – ale obaj założycielami nie byli). Mnie niektórzy życzliwi także tu czasem dopisują, ale niesłusznie. Nie byłem w gronie założycieli, chociaż z całym przekonaniem popierałem, co się dało. Jako dyrektor Instytutu miałem duże możliwości i je wykorzystywałem. Pamiętam, na przykład, taką historię, gdy SNS ubiegał się o prawo nadawania stopnia magistra i złożono odpowiedni wniosek do Ministerstwa. Przyjechała ministerialna komisja i zadała parę pytań rektorowi (prof. Jan Mostowski), m.in. o kadre nauczającą. Rektor z dumą pokazał listę (tam byli świetni uczeni, także członkowie PAN). Wtedy padła prośba o pokazanie umów o pracę i okazało się, że wszystkie umowy podpisane przez wykładowców były nieważne! Pisaliśmy bowiem (ja byłem wtedy wykładowcą chemii ogólnej i nieorganicznej) na tych umowach odręcznym pismem: „bez wynagrodzenia”. Tymczasem od momentu podpisania przez Polskę międzynarodowej konwencji o zwalczaniu niewolnictwa wszelkie umowy „bez wynagrodzenia” są z mocy prawa nieważne. To był poważny problem, bo nie do pomyslenia było narażanie nielicznej grupy studentów na opłacenie czesnego wystarczającego na wynagrodzenia wykładowców... (Asystenci dostawali wynagrodzenia. Aczkolwiek były one skromne, pełniły ważną funkcję, bo ta grupa pracowników w instytutach zarabiała mało i nie dopuszczaliśmy myśli, że mieliby pracować społecznie). Wtedy zaproponowałem rozwiązanie takie, by instytuty delegowały swoich profesorów do wykładania w SNS. To się przyjęło i uprawnienia nadano.

⁵ Wspominam o tym wyłącznie dlatego, że w jakimś obszernym wywiadzie prasowym pan Robert Hołyst, wymieniając swoje osiągnięcia, zawarł m.in. paragraf pt. *Gdy zakładałem Szkołę Nauk Ścisłych*. To fikcja, należy zwracać uwagę na takie fałszerstwa...

GARŚĆ WSPOMNIENI Z MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W SFERZE NAUKI

W chemii niezwykle poważnym problemem były laboratoria. Z wielkim wysiłkiem ludzi dobrej woli udało się stworzyć laboratoria w miejsce likwidowanych w IChF PAN magazynów na pierwszym piętrze hali warsztatowej oraz w tzw. Hali Technologicznej. Bardzo się nad tym napracował prof. Piotr Modrak, m.in. broniąc tych spraw przed dyrekcją IChO (która od początku była SNS niechętna, przezywali ją „szkoła nauk ścisłych”...). Zaś głównym organizatorem i później prowadzącym zajęcia w laboratoriach chemii organicznej był dr R. Koliński, emerytowany przez IChO. Jemu wiele zawdzięcza SNS. Odrębnym problemem było zgromadzenie potrzebnej ilości chemikaliów. I tutaj pojawiły się niezwykle okazje. Z jakichś powodów liczne instytucje w Warszawie likwidowały swoje laboratoria chemiczne. Były to stacje epidemiologiczne, ale także Wojskowa Akademia Techniczna i Technikum Chemiczne (tak!). Jerzy Herbich wykazał się niezwykłym talentem w wyszukiwaniu takich instytucji i uzyskiwaniu od nich zgody na nieodpłatne przekazanie nam chemikaliów. Zgromadziliśmy ogromne zapasy, problemem było zorganizowanie odpowiedniego magazynu. W Zakładzie II („moim”) mieliśmy wówczas dodatkowe pomieszczenia na poddaszu – nieco wcześniej dopuszczone do prac chemicznych dzięki wybudowaniu zewnętrznych schodów awaryjnych. Laborantka z mojego zespołu w Zakładzie, zatrudniona dorywczo do prac z chemikaliami, Urszula Zielkowska (w swej głównej pracy prowadząca magazyn chemiczny na UW-Chemia) wykonała gigantyczną robotę i zorganizowała magazyn chemiczny Zakładu II IChF, służący wszystkim pracownikom Instytutu, w miarę możliwości, oczywiście. A także laboratoriom SNS. Nie brakowało trudnych momentów. Wspomnę taki: od jednego z darczyńców (nie wymienię, którego...) dostaliśmy w wielkich koszach wiklinowych spore ilości chemikaliów. Nasi pracownicy Działu Gospodarczego wyrażali obawy, czy mogą bezpiecznie te ciężkie kosze nosić na poddasze. Zapewniłem ich, że „tak”, będąc pewnym, że akcja organizowana przez Jurka Herbicha musi być bez zarzutu. Gdy skończyłem swoje zajęcia tamtego dnia, postanowiłem się przyjrzeć najnowszym „zdobyciom”. Zajrzałem na poddasze i przerażony wróciłem po fartuch laboratoryjny. Po prostu zgroza! Tam w koszach były obok siebie chemikalia niezwykle niebezpieczne i tylko dzięki Opatrzności nic się podczas transportu nie wydarzyło. Np. ponad kilogram cyjanku potasu obok stężonego kwasu, albo litrowy pojemnik nikotyny! Było po 17-tej, nikogo nie mogłem znaleźć do pomocy, więc sam, prawie do północy segregowałem te chemikalia tak, by poranne sprzątanie nie wiązało się z niebezpieczeństwem. Najgroźniejsze chemikalia zapakowałem do sejfu w Zakładzie. Zdaje się, że nerwowo odchorowałem tę akcję, już szczegółów nie pamiętam, ale z pewnością nie zmrużyłem oka tamtej nocy...

Problemem SNS były zajęcia z chemii organicznej. IChO nie był zainteresowany współpracą. Na szczęście znajdowali się chętni do prowadzenia zajęć stamtąd (np. Bohdan Korybut-Daszkiewicz). Świetnie radził sobie dr Koliński z laboratoriami.

Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego

Podstawowym walorem programowym SNS było solidne oparcie wykształcenia na matematyce i potem specjalizacji ustalonej indywidualnie. Pojawiła się, w tym względzie, niezwykle poważna konkurencja w postaci „indywidualnego toku studiów” na UW. To właściwie pozbawiało SNS podstawowego atutu. Zaczęły się więc poszukiwania „nowej drogi” i tak znaleźliśmy się w objęciach UKSW. Rektorem wtedy był Tadeusz Skośkiewicz i to jemu przyszło prowadzić rozmowy z władzami UKSW. Uczestniczyłem w nich, jako dyrektor IChF, a więc instytucji, na której opierała się chemiczna część SNS. Udało się i staliśmy się częścią Uniwersytetu. To była bardzo istotna zmiana. Studenci nie mieli już obowiązku opłacania czesnego, zaś wykładowcy zaczęli otrzymywać regularne wynagrodzenia.

Problemem, z którym borykaliśmy się od lat i długo bez końcowego sukcesu, są uprawnienia do nadawania przez UKSW-SNS stopnia naukowego doktora (w dziedzinie chemii, oczywiście). W niektórych częściach tych starań brałem udział. Jako konsultant w UKSW, potem jako członek Centralnej Komisji (sekcji 5: nauki matematyczne, chemiczne, fizyczne). W tej roli nasłuchiwałem się dziwnych zarzutów. O tym, że UKSW jest miejscem, gdzie profesorowie zatrudnieni w instytutach PAN-owskich „chałturzą” dla dodatkowego zarobku, i że nie ma tam kadry uzasadniającej wniosek o uprawnienia do doktoryzowania. Było bardzo nieprzyjemnie, daleko od prawdy, nikt nie chciał słuchać moich informacji o wykładach „bez wynagrodzenia”, czy innych uzasadnień. Zrodziła się niechęć do chemii w UKSW i to ciągle trwało, mimo oczywistych, skądinąd, argumentów. To się wreszcie skończyło w 2020 roku. Kadra w UKSW-chemia jest lepsza od paru krajowych instytucji mających takie uprawnienia. Ale wykazanie tego stało się prawie niemożliwe, bo odpowiednie informacje są podawane przez uczelnie w sposób niepozwalający na uczciwe porównania... W tej chwili jest wciąż tak, że doktoraty w dziedzinie chemii są w UKSW prowadzone, ale przewody doktorskie formalnie mają jeszcze miejsce na zaprzyjaźnionych uczelniach. Ale już zaczynamy „nowe życie”.

Reorganizacja IChF PAN

Jako dyrektor w Instytucie stanąłem wobec licznych, nowych zadań do spełnienia. Przede wszystkim natury ogólno-organizacyjnej. Instytut miał rozbudowane zaplecze zaopatrzeniowo-magazynowe i transportowe (4 samochody, 3 kierowców plus mechanik z warsztatem, kierownik i sekretarka), gromada sprzętaczek i tak dalej. Trzeba było to inaczej zorganizować, bo czasy zasadniczo zmieniły się. Ale strach! Nie spałem po nocach wyobrażając sobie domowe dramaty, gdy ludzie tracą pracę. A musiałem zwalniać. Wyszło mi tak, że zwolniłem 88 osób. Na szczęście tragedii nie było, ludzie się inaczej poustawiali w życiu i nieraz słyszałem teksty takie: „ach, jak to dobrze, że mnie Pan zmusił do odejścia z tej marnej, w końcu, posady! Urządziłem się po nowemu i chwałę sobie”. To było naprawdę pocieszające. Zlikwidowaliśmy, co zbędne, niektóre tzw. służby sprywatyzowaliśmy i było

dobrze. Nie wszystko było łatwe, np. zawarcie umowy z firmą na gospodarkę chemiczalniami w miejsce dawnych magazynów i zaopatrzenia napotkało na protesty ze strony naszych przyjaciół z Instytutu Chemii Organicznej PAN⁶, którzy uważali się za „ważniejszych” w tych sprawach. Udało się w końcu, z kontrasygnatą dyrektora IChO. Trudnym zadaniem było również porządkowanie struktury pionu naukowego. Opracowałem własny system ocen efektywności prac badawczych⁷, który w podstawowej części jest, jak mi się wydaje, do tej pory wykorzystywany. Wywierałem presję na zespoły badawcze, by aktualizowały swoje programy.

Instytut od samego początku miał bardzo zróżnicowaną tematykę naukową, co niezwykle komplikuje wzajemne oceny. Uznałem, że przydałby się do tego celu jakiś system oparty o możliwie obiektywne dane. Wtedy powoli upowszechniały się systemy ocen bibliograficznych, z tzw. czynnikiem wpływu (*impact factor*). Wymyśliłem nieskomplikowany wzór, w którym ten czynnik (IF) odgrywa podstawową rolę: $OP = KP(1 + 2xIF)$ – OP to ocena publikacji, KP – kategoria pracy (KP = 5 dla pełnego artykułu, pracy oryginalnej; KP = 3 dla *short communication* oraz KP = 1 dla listu do redakcji). Według tego wzoru praca opublikowana w czasopiśmie o IF = 0 ma tyle punktów, ile wynosi jej KP, a każde podwyższenie IF bardzo wyraźnie podwyższa ocenę. W tamtym czasie jednym z najwyższych punktowanych czasopism był „Journal of American Chemical Society” (IF = 4.5), więc opublikowanie tam pracy dawało współczynnik równy 10! W ocenie indywidualnej punkty za publikacje dzielono przez liczbę współautorów, a dorobek zespołu (Zakładu) był zwyczajnie sumą uzyskaną przez wszystkich uczestników. To było posunięcie pionierskie, bardzo przydatne, ale równocześnie stało się zburzeniem dla mnie osobiście. Bo to, co było oceną dorobku publikacyjnego za dany okres od razu zaczęto traktować jako ocenę pracownika. A tego zdecydowanie nie chciałem i nie zamierzałem. Wyraźnie zaznaczałem, że pracownik naukowy ma pełne prawo do twórczego namysłu bez publikacji, i że brak punktów nie jest podstawą do negatywnej oceny. Zresztą, braliśmy pod uwagę dorobek ostatnich trzech lat, nie tylko ostatniego roku, i tak dalej, ale na ogół, bez skutku... Było wiele nacisków na zmiany systemu ocen. Po latach uległem w jednej kwestii: żeby autorów spoza Instytutu liczyć trochę inaczej, dla naszych pracowników korzystniej. Potem zrobiono kolejne zmiany, już nie wiem, jak to teraz funkcjonuje. Ale jestem przekonany, po latach, że mimo wielu kłopotów ten system bardzo przydał się. Nie opisuję tu innych detali systemu, jak ocena prac przeglądowych i tak dalej, bo to już tylko historia, jak sadzę. Opublikowałem ten „system”, referowałem na kilku konferencjach poświęconych tym zagadnieniom. Tutaj szkoda miejsca na detale.

⁶ Zlokalizowanego na tym samym terenie, co IChF PAN.

⁷ Dzisiaj wszystkie instytucje opierają się o jakieś „systemy ocen”, wtedy to było pionierskie posunięcie. Ale było bardzo trudno. Moją intencją było, by zmierzyć efektywność pracy, a nie efektywność poszczególnych osób. Gdy ktoś przez trzy lata nie miał efektów, to z nim rozmawialiśmy, ale nie było tak, ani przez moment, by kogoś uzyskującego 50 pkt. uznać za 5 razy lepszego od kolegi mającego 10 pkt. A tak to było rozumiane! Większość czasu spędzałem na tłumaczeniu tego, skądinąd oczywistego faktu, od początku zapisanego w regulaminach.

Doprowadziłem, w ciągu lat dyrektorowania, do istotnych zmian w strukturze naukowej Instytutu. Zlikwidowaliśmy kilka samodzielnych pracowni i jeden zakład, nie zwalniając pracowników naukowych. Każdy, kto miał kłopoty z oceną dorobku publikacyjnego, był zapraszany do dyrekcji, gdzie wspólnie z prof. Grabowską dyskutowaliśmy sytuację. Często dochodziło do przeniesienia takich osób do innych zakładów, a do mojego szczególnie, bo nie wymagało to kłopotliwych uzgodnień z kierownikiem zakładu. To mi trochę komplikowało ocenę Zakładu, ale można było sobie z tym radzić. Utworzyliśmy także parę nowych pracowni i nowych kierunków badawczych. Istnieje wnikliwe opracowanie historii IChF PAN, odsyłam zainteresowanych do tego wydawnictwa.

Nie zwalniałem pracowników naukowych. Jeżeli byli nieefektywni, to znajdowali się pod presją, ale nie pod groźbą zwolnienia.

Wprowadziłem też pewne systemowe zasady finansowania Zakładów Instytutu, zacytowane poniżej:

1. Z puli centralnej Instytutu pokrywane są koszty wynagrodzeń zasadniczych, premii regulaminowych i dodatków funkcyjnych:
 - pracowników naukowych Zakładu;
 - pracowników inżynieryjno-technicznych, posiadających stopień naukowy doktora;
 - absolwentów wyższych uczelni mających stopień licencjata i kontynuujących studia;
 - stażystów – absolwentów wyższych uczelni ze stopniem magistra nowoprzyjętych do pracy w Instytucie, w okresie nieprzekraczającym 3 miesięcy⁸;
 - nagród (określonych w regulaminie wynagradzania pracowników IChF PAN) wszystkich pracowników Zakładu.
2. Zakład otrzymuje na pokrycie bieżących kosztów swej działalności statutowej kwoty wynikające:
 - z dorobku naukowego za lata poprzednie przeliczonego na punkty według aktualnie obowiązujących zasad⁹;
 - z przydziału środków na uposażenia (zasadnicze plus premia regulaminowa) dla obsługi inżynieryjno-technicznej i biurowej Zakładu, według przyjętych w tym zakresie zasad¹⁰. Kwoty te przyznawane są niezależnie od tego, czy odpowiednie etaty w Zakładzie są obsadzone czy nie i mogą być rozdysponowane na inne cele związane ze statutową działalnością Zakładu.

⁸ Warunkiem jest, by dana osoba legitymowała się co najmniej dobrym stopniem na dyplomie magisterskim.

⁹ Przyjmuje się za podstawę 1/3 liczby punktów za prace oryginalne wykonane w IChF PAN w ciągu trzech lat poprzedzających rok ubiegły, pełną liczbę punktów w roku poprzedzającym oraz liczbę punktów za prace monograficzne przemnożone przez względny udział Zakładu w dorobku punktowym Instytutu za prace oryginalne (wykonane w IChF w roku poprzedzającym). Kwoty na prace doświadczalne obliczane są ze współczynnikiem 1, na pozostałe ze współczynnikiem 0.5.

¹⁰ Przyjmuje się zasadę, że 1 etat inżynieryjno-techniczny przypada na 2 pracowników naukowych pracujących doświadczalnie lub na 4 pracowników naukowych nie wykonujących prac doświadczalnych.

GARŚĆ WSPOMNIENÍ Z MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W SFERZE NAUKI

3. Decyzja o wysokości kwot wymienionych ww. punkcie 2, podejmowana jest po uzyskaniu informacji z Komitetu Badań Naukowych o wysokości dofinansowania działalności statutowej Instytutu w danym roku budżetowym i wchodzi w życie najpóźniej w dniu otrzymania przez IChF PAN funduszy na bieżącą działalność. Do tego czasu obowiązuje prowizorium budżetowe¹¹, o ile dyrekcja Instytutu nie wyda innej decyzji w tym zakresie;
4. Z puli centralnej Instytutu pokrywane są ponadto koszty stypendiów doktoranckich, doktorskich i habilitacyjnych oraz związane z tym dodatki. Decyzję o przyznaniu stypendium doktoranckiego oraz o rodzaju i wysokości pozostałych, związanych z nim świadczeń ze strony IChF PAN podejmuje dyrektor Instytutu;
5. Zasady finansowania współpracy naukowej z zagranicą określone są odrębnie;
6. Z centralnych funduszy Instytutu pokrywane są również stypendia przyznawane przez dyrektora IChF stażystom zagranicznym. Wysokość stypendiów określana jest corocznie, w oparciu o obowiązujące w tym zakresie odrębne przepisy. Zakłady naukowe IChF przyjmujące stypendystów zagranicznych na staże obowiązane są zapewnić dofinansowanie kosztów pobytu¹² oraz pokrywać koszty ich bieżącej działalności naukowej.

Oddzielnie opiszę wrażenia ze współpracy z moimi wicedyrektorami. Teraz wspomnę udział pani profesor Anny Grabowskiej. Bardzo mnie wspomagała, jako wicedyrektor ds. naukowych w wyżej wspomnianym regulowaniu i sanacji pionu naukowego Instytutu. Bardzo rzeczowa i twórcza. Zaś akcją specjalną, jaką podjęliśmy wspólnie, był projekt kapitalnej rozbudowy biblioteki, która jest wspólna dla obu instytutów, mieści się przy ul. Kasprzaka w Warszawie i jest najlepszą w kraju biblioteką naukową w dziedzinie chemii. Jest słoczona na niewielkiej przestrzeni w budynku administracyjnym IChF. Działa świetnie, doskonale prowadzona, ale czytelnik nie ma bezpośredniego dostępu do księgozbioru, poza bieżącą literaturą w czytelnicy, bo magazyn jest uformowany na przesuwanych regałach i dostęp tam jest reglamentowany (słusznie) dla personelu. Więc trzeba znaleźć sobie w katalogu, napisać rewers i oddać w okienku. Miła pani z magazynu po chwili to znajduje i przynosi. Chcieliśmy rozbudować bibliotekę tak, by czytelnicy mieli bezpośredni dostęp do zbiorów, by dodać pomieszczenia na komputery oraz powiększyć instytutową bazę seminaryjną. Profesor Małanowski z IChF przedstawił nam zespół architektów: Marek Budzyński i spółka. Zamówiliśmy wstępny szkic projektu i zaczęła się gigantyczna afera IChF–IChO, mająca w tle długotrwałe spory na tej linii. Było kilka istotnych powodów. Zaczęę od najmniej istotnego, bo ambicioznego. Przez lata zdarzało się tak, że dyrektorzy IChF (Śmiałowski, Zielenkiewicz) pełnili równocześnie funkcję Sekretarza III Wydziału PAN, nadrzędną w stosunku do pla-

¹¹ Oznacza to możliwość dysponowania przez Zakład środkami w takiej wysokości, jaka wynika z obliczeń wg pkt. 2a, jednak w tempie wydawania nieprzekraczającym n/12 nakładów rocznych (n – numer kolejny miesiąca).

¹² Wysokość tego dofinansowania określana jest corocznie przez dyrekcję Instytutu wraz z decyzją budżetową IChF PAN.

cówek Wydziału. W sporach między naszymi instytutami to było, słusznie czy nie, odbierane z bólem przez IChO, zawsze kierowane przez osoby niezwykle ambitne. Podstawowy problem miał podłoże „genetyczne”. Gdy utworzono IChO PAN, to nie miał on własnej siedziby. Postanowiono „tymczasowo” zlokalizować go razem z IChF, stwarzając niebywałą ciasnotę, istniejącą właściwie do dnia dzisiejszego. Koledzy z IChO mieli potem opracowany projekt własnego budynku laboratoryjnego pomiędzy aktualnie istniejącymi a budynkiem administracyjnym. Nigdy niezrealizowany i przestarzały w chwili, o której teraz mowa. Dodam, że panowie dyrektorzy z IChO mieli własne koneksje architektoniczno-budowlane, więc nie mogło im się podobać ewentualne wejście na teren kogoś innego. Nie zdobędę się na ewaluację względnej wagi każdego z tych argumentów, ograniczę się do stwierdzenia, że awantura była niesłychana, od samego początku. Nic się kolegom nie podobało i, koniec końców, skutecznie storpedowali ten ładny pomysł, mający utworzyć Centrum imienia Śniadeckiego. W latach następnych próbowali prze-forsować własny projekt budowy laboratoriów, ale bez skutku, mimo życzliwego poparcia ze strony IChF. Może wspomnę, że zespół Budzyński i spółka, nabrawszy orientacji w kwestii bibliotek naukowych, wygrał potem konkurs na budowę nowej Biblioteki Uniwersyteckiej oraz siedziby Sądu Najwyższego w Warszawie. Żałuję, że nie udało się doprowadzić do porozumienia z dyrekcją IChO PAN, bylibyśmy dzisiaj w zupełnie innej sytuacji. Wprawdzie korzystanie z bibliotek dzisiaj rządzi się innymi prawami niż wtedy, ale bez wątpienia wykorzystalibyśmy tę zaplanowaną przestrzeń, z pożytkiem dla obu instytutów przecież. Jedyna praktyczna korzyść z ówczesnych awantur jest taka, że zawarliśmy porozumienia dotyczące podziału własności gruntów na wspólnym terenie. Z dużym trudem, ale skutecznie.

Przystąpiliśmy także do utworzenia bazy lokalowej dla gości Instytutu. W porozumieniu z sąsiadującą z nami spółdzielnią mieszkaniowa „Akademia”, po nader trudnych negocjacjach prowadzonych przez naszego wicedyrektora, prof. Stanisława Filipka udało się i wkrótce, po upływie naszej kadencji, nasi następcy zorganizowali otwarcie tych lokali. Nie zapraszając nas na to wydarzenie. Taki przejaw „nowej” kultury, powtórzono później nieraz. Nie wyolbrzymiam faktów, tylko odnotowuję, bo „się należy”. Wysiłek organizacyjny był naprawdę znaczny, nie wspominając o nakładach finansowych. Bo IChF nie dostał żadnych specjalnych dotacji na ten cel. Należało się jakieś „dziękuję”...

Inną inwestycją Instytutu, jaką udało mi się osobiście przeprowadzić, także bez dotacji z zewnątrz, była siedziba Zakładu Fizykochemii Soli Stopionych w Krakowie. Był to zakład prowadzony przez profesora Leszka Rostwo-Suskiego. Trudna, ambitna tematyka z zakresu wysokotemperaturowych ogniów paliwowych, opartych o technologię membranową ze stopionych węglanów. Zespół funkcjonował gościnnie w podziemiach AGH, która im wymówiła wynajem. Profesor Suski znalazł możliwe rozwiązanie, gdyż resortowy Instytut Chemicznej Przeróbki Węgla zabierał się właśnie do likwidacji jednego ze swoich laboratoriów mającego samodzielną siedzibę w Krakowie. Udało mi się zawrzeć bardzo korzystne porozumienie z dyrektorem ICPW, dr Ściążko, który ze zrozumieniem odniósł się do naszej sytuacji. Musieliśmy, rzecz jasna, „wyskrobać” niezbędne fundusze, ale warunki były tak korzystne, że zdecydowaliśmy się. Trzeba dodać, że zakupiona,

GARŚĆ WSPOMNIENÍ Z MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W SFERZE NAUKI

nowa siedziba Laboratorium była w kiepskim stanie technicznym, ale profesor Suski wraz z zespołem wykonali doskonałą robotę, doprowadzając ją do bardzo dobrego stanu. Niestety, prof. Suski przedwcześnie zmarł, a jego następca nie miał już takiej siły woli i charakteru, by Laboratorium i jego tematykę utrzymać. Już po moim odejściu z dyrekcji IChF, nowy dyrektor część nieruchomości sprzedał, a część oddał Instytutowi Katalizy i Fizykochemii Powierzchni PAN w Krakowie. Mógł to zrobić, dzięki temu, że wcześniej udało mi się wynegocjować z władzami PAN uzyskanie praw własności do tej nieruchomości. Gdy ją kupowaliśmy, to obowiązywała dawna ustawa o PAN i wszystkie nieruchomości były własnością PAN. Profesor Jerzy Kołodziejczak, który wówczas decydował w imieniu PAN, uznał moją argumentację, że zakup był ze środków własnych Instytutu i przyznał nam tę własność. To była słuszna decyzja, bardzo mu byłem wdzięczny.

Z tym laboratorium, jeszcze za życia prof. Rostwo-Suskiego, mieliśmy ciekawe doświadczenie ogólniejszej natury. Bowiem prof. Suski był znany za granicą, m.in. współpracował z amerykańskim Instytutem Gazu, gdzie wypracowano przemysłową technologię produkcji membran do wysokotemperaturowych ogniw paliwowych – trochę zbliżoną do tego, nad czym pracowało krakowskie laboratorium Suskiego. Technologię tę zaferowali Europie do wykorzystania na prawach własności. Holandia przyjęła to na Europę Zachodnią. Suskiemu złożono ofertę na Europę Wschodnią wraz ze Związkiem Radzieckim. Zorganizowaliśmy szereg spotkań z ministerialnymi ekspertami oraz fachowcami z PGNiG, na terenie dawnej gazowni przy ul. Kasprzaka w Warszawie. Narady były bardzo ciekawe, wszyscy zainteresowani (ja też tam byłem, jakkolwiek w skromnej roli obserwatora, bo to nie jest moja specjalność naukowa, a na handlu w ogóle się nie znam). I co? Figa z makiem! Czekaliśmy na jakąś decyzję finansową i tyle. Z tego, co słyszałem od kolegów z innych dziedzin, to było raczej typowe zachowanie. Ministerstwa nie są u nas od robienia dobrych interesów – przepraszam, nie mam kwalifikacji do formułowania takich sądów, ale mogę wyrazić swoje zdanie w oparciu o własne, fragmentaryczne doświadczenia.

Inną kwestią, rozstrzyganą wspólnie z prof. Grabowską był problem Świdna. To dość skomplikowana historia, postaram się ją opisać najzwięźlej, jak można. Zaczęło się około roku 1970, gdy ówczesne władze państwowe wystąpiły z apelem do instytucji i przedsiębiorstw o ratowanie niszczących dworków i pałaców. Sensowna akcja, IChF do tego chętnie przystąpił tym bardziej, że niektóre jego laboratoria tęskniły do pomiarów w okolicach pozbawionych zakłóceń przemysłowych. Ulicą Kasprzaka wtedy jeździły tramwaje, nie brakowało zakłóceń, a w tych warunkach subtelne pomiary fizyczne nie udawały się. Pierwszym miejscem, do którego Instytut skierowano, był Zambrów, około 120 km na północny wschód od Warszawy. Ładny dwork, wcale nieniszczący, nie wiem, dlaczego znalazł się na tej liście. Ja wtedy byłem skromnym doktorantem, ale mnie też „zagoniono” do pomocy przy transporcie i instalacji części aparatury. Pani Sybilska umyśliła, że będę miał dobre warunki do hodowli kryształów. Więc byłem tam raz, pomagałem, ale szybko okazało się, że to nie była propozycja dla nas. Zwyczajnie nas stamtąd przegoniono, nie wiem nawet, co się stało z częścią przewiezionego sprzętu. Wtedy pojawiła się inna sprawa, Świdno właśnie, około 75 km od War-

szawy, niedaleko od Pilicy, trochę na uboczu Nowego Miasta i Mogielnicy. Tam była prawdziwa ruina. Dworek piętrowy, z mocno dziurawym dachem, kompletnie zniszczony wewnątrz. Był wykorzystywany przez okoliczne kółko rolnicze (czy jak to się nazywało...) jako miejsce składowania sztucznych nawozów. Kompletnie zaniedbany, właściwie w ruinie; mamy dokumentację fotograficzną. Pracownicy Instytutu wzięli się do roboty z wielkim zapałem i zaangażowaniem. Nigdy nie pojawiło się żadne źródło finansowania tych prac, wszystko robiono w czynnie społecznym, wykorzystując własne środki i materiały Instytutu. Upłynęło wiele lat zanim część pomieszczeń „pałacu” (jak mówiono; raczej to był dworek), można było wykorzystywać do pomiarów elektronicznych i prac z tym związanych. Niezwykle się w tę działalność zaangażował docent Józef Koszewski, który do IChF trafił z Wojskowej Akademii Technicznej. Swoje tamtejsze znajomości świetnie wykorzystał w trudnych momentach, w szczególności wtedy, gdy fundamenty „pałacu” do niczego się nie nadawały wskutek nasiąknięcia rozpuszczonymi nawozami sztucznymi. Wyglądało to beznadziejnie, ale pojawili się specjaliści z WAT-u, którzy dysponowali własną, opatentowaną metodą rozwiązywania takich problemów. I tak dalej, i tak dalej, było niesłychanie dużo kłopotów i wydatków. A tymczasem „przyczaił się” ksiądz Adam Boniecki, mający prawa spadkowe do tej posiadłości. Piszę „przyczaił się”, bo tak dokładnie było, nie jest to złośliwość z mojej strony. Ksiądz pisał liściki do doc. Koszewskiego, chwalił i cieszył się. Ale się nie dołączał, żadnej oferty pomocy, tylko zaczął się. Pałac w Świdnie wtedy służył najczęściej jako miejsce do niewielkich konferencji oraz do wczasów pracowniczych. Były już odpowiednie warunki, dom wykończony i urządzony, otaczający park wymagał jeszcze pracy, ale to też było w trakcie, gdy wraz z prof. Grabowską postanowiliśmy zadać księdzu pytanie, jakie zamiary ma wobec Świdna. Zaprosiliśmy go zatem do naszej dyrekcji na rozmowę i dowiedzieliśmy się, cytuję z pamięci, że ksiądz uważałby za akt sprawiedliwości dziejowej, gdyby uzyskał prawo własności tej rodzinnej posiadłości. Pamięta, jak ich eksmitowano na drabiniastym wozie itd. Ale, doceniając wkład Instytutu w odbudowę Pałacu nie wykluczałby podnajęcia go nam na rozsądnych warunkach. I z tym rozstaliśmy się, w przyjaznej atmosferze. Profesor Grabowska odwiozła księdza swoim samochodem itd. Widać było, że jest problem, ale to, co się potem wydarzyło przeszło nasze wyobrażenia. Bo ksiądz trochę jeszcze wyczekał, po czym wynajął dobrego krakowskiego adwokata i przystąpił do akcji. Zażądał wydania posiadłości oraz prawie dwumilionowego odszkodowania za „bezumowne korzystanie” (naprawdę!). To ten sam ksiądz, który pojawiał się w mediach jako arbiter przyzwoitości i prawdy, uznany moralista. Niesłychane. Potem do akcji przystąpili adwokat i sądy. Na początku spotkałem się jeszcze z księdzem w centrali PAN. Bo jemu najwidoczniej było niezręcznie ze swoimi roszczeniami zwrócić się do Instytutu, który go kiedyś zaprosił na miłą pogawędkę. Więc wybrał Akademię. Tam jednak odpowiedni urzędnik uznał, że powinien zaprosić do udziału w rozmowie dyrektora Instytutu, więc mnie. Ksiądz był wyraźnie z tego niezadowolony. Z tej rozmowy już nic konkretnego nie wynikło. Boniecki przystąpił do bezwzględnego natarcia i było ciekawie, gdy Sąd Rejonowy w Lublinie, który wydawał finalny werdykt w sprawie, przyznał księdzu wszystko to, co było w pozwie i jeszcze dorzucił

kilka pozycji. Nie musieliśmy na szczęście płacić milionowego odszkodowania, to byłoby gigantycznym skandalem. Ale cała reszta to też niezła sprawa... Więc w sumie przegraliśmy z kretešem. W moim ostatnim liście do księdza wyraziłem, wyraźnie rozżalony jego akcją, nadzieję, że Sąd Ostateczny będzie miał inne zdanie niż Sąd Rejonowy w Lublinie. Nie chcę przytaczać argumentów używanych przez księdza Bonieckiego w ówczesnych dyskusjach, bo to dla niego kompletnie kompromitujące¹³. Jak również to, że po uzyskaniu prawa własności szybko posiadłość sprzedał. Więc nie „symboliczne odzyskanie prawa” a zwykła żądza zysku była fundamentem jego działania. To, co pozostało Instytutowi, to pochwalne artykuły w prasie lokalnej oraz dyplom i odznaczenie dla dyrektora Zielenkiewicza, za którego kadencji miała miejsce odbudowa Świdna¹⁴. I żał tych, którzy ten pałac odbudowali, wyposażyli, wzbogacili i zostali oszukani. Piszę bardzo rozżalony, ale podkreślam, że nie we własnym sumieniu. Ja się nad odbudową Świdna nie napracowałem, robili to inni.

Pewnego dnia do mnie w Zakładzie przymaszerował pan, jak się okazało, Syryjczyk, z pytaniem, czy mógłby w Instytucie odbyć studia doktoranckie. Oповідział o temacie i o zgodzie potencjalnego opiekuna z Zakładu Elektrochemii i Korozji. Nie musiałem wyrażać zgody, tu wystarczała opinia Zakładu, ale skoro dostałem pytanie, to sprawę przeanalizowałem i z przekonaniem poparłem pomysł. Gość nazywał się Sinan Al Ghanem i ukończył doktorat z powodzeniem. Obrona miała miejsce na Politechnice Warszawskiej, bo tematyka w końcu była w obszarze nauk technicznych, a tego w IChF nie było, ale przeszło wszystko bez zarzutu. W trakcie pracy pan Sinan przyszedł kiedyś do mnie do dyrekcji Instytutu i zaczął dopytywać, czy bylibyśmy zainteresowani przyjęciem delegacji Uniwersytetu Tishreen z Latakii w Syrii na rozmowy. Odpowiedziałem: „tak, do kogo mam skierować zaproszenie”, a on na to: „oni już tu są”. Dobre, co? Zaskakujące, ale dobrze, przyjęliśmy delegację z JM Rektorem, kierownikiem jego biura ds. współpracy oraz jeszcze jedną osobą. Miło nam się rozmawiało, za pośrednictwem tego kierownika, bo tylko on rozumiał po angielsku. Więc trochę to trwało. Wieczorem byliśmy na kolacji u syryjskiego ambasadora w Warszawie, Rektor to jest ktoś... A Uniwersytet w Latakii jest numerem 3 w Syrii. Jakiś czas później dostaliśmy zaproszenie do wizyty w Latakii. Analizowałem koszty przelotu do Damaszku dla 3 osób: pani wicedyrektor, pana kierownika Zakładu i dla mnie. Wtedy miałem dobre kontakty z personelem Austrian Airlines w Warszawie. Okazało się z rozmów z nimi, że wyjątkowo korzystna oferta przelotu obowiązuje dla grup liczących przynajmniej 6 osób. Skompletowałem „załogę” z trzech osób jak wyżej, plus Sinan Al Ghanem i dwie małżonki, moja i prof. Flisa, kierownika Zakładu. W sumie taniej niż 3 bilety indywidualne... (oczywiście za małżonki płaciliśmy prywatnie, na tym zasadzała się ta kalkulacja). Towarzystwo pana Sinana było niezwykle korzystne,

¹³ Rzadko się, na szczęście, widuje księdza Bonieckiego w telewizji. Bo ja wyłączam, gdy tego hipokrytę widzę.

¹⁴ Nabywcy Świdna mieli zamiar na tym zarobić, ale coś tam nie wyszło chyba, bo słyszmy, że Pałac ponownie niszczyje i niektórzy obserwatorzy, najzupełniej niesłusznie (!) wiążą to z Instytutem...

poczynając od kontroli celnej na lotnisku w Damaszku (niczego nie mieliśmy do kontrolowania, ale standardowa procedura była bardzo kłopotliwa). Tam powitała nas delegacja z Latakii, zakwaterowała w hotelu i powiadomiła o programie. Następnego dnia ruszyliśmy samochodem na północ do Latakii, gdzie spędziliśmy kilka dni zwiedzając Uniwersytet i odwiedzając znajomych pana Sinana. To było niezwykle, bo okazało się, że on jest z rodziny plemiennych władców syryjskich, czyli z partii BAS. Byliśmy w domu jego wuja, emerytowanego szefa BAS, a także u innej rodziny, wszędzie przyjmowani z respektem i dobrą ucztą.

Powiniennem wspomnieć, że w Syrii obowiązywał kult prezydenta Asada, na pustyni po drodze widzieliśmy liczne tego dowody.

Latakia leży nad morzem, byliśmy więc na krótkim spacerze po plaży.

Zawarliśmy porozumienie o współpracy z Uniwersytetem Tishreen i ruszyliśmy w podróż powrotną. Miałem ciekawe doświadczenie po drodze. Poprosiłem, by zatrzymali auto w pobliżu jakiejś toalety. I zatrzymali, obok rozległego placu z meczetem na końcu. I tam mnie skierowano. Więc poszedłem i szukałem toalety wokół zewnętrznych murów meczetu. Nie znalazłem, wróciłem i powiedziano mi: „nie, tam trzeba wejść na teren meczetu”. Cóż było robić, tak dokładnie postąpiłem i to było niezwykle doświadczenie. Bo na terenie było prawie tłoczno a mnie rozpoznawano od razu i pokazywano drogę do sanitariatów. Z uśmiechami i nadzwyczaj uprzejmie. A sanitariaty świetne. Bardzo czyste, wyposażone całkowicie, inne niż nasze, ale w pełni wystarczające i komfortowe. Oraz wiele miejsc, nie ma mowy o tłoku. Przede wszystkim straciłem uprzedzenie do mahometan jako wrogiego narodu, tam było przyjaźnie i miło.

Trasę nam urozmaicono o przejazd przez góry i ciekawe widoki stamtąd oraz wizytę w terenie historycznym, z wykopaliskami i resztkami starożytnych budowli.

W Damaszku zorganizowano nam jeszcze audiencję u pani Minister Edukacji Syrii. Prywatnie odwiedziliśmy meczet Omajadów, świątynię o niezwyklej, długiej historii. A tam kolejna niespodzianka: grobowiec św. Jana Chrzciciela (tak, naszego świętego) niezwykle zadbany i oblegany przez mahometan, którzy najwidoczniej mieli do niego jakieś sprawy. Też byliśmy mile widziani. Pamiętam te wrażenia, jakże różne od oficjalnej propagandy anty-islamskiej.

Jako zaprzyjaźnieni z Syrią byliśmy potem kilkakrotnie zapraszani na przyjęcia do rezydencji ambasadora w Warszawie, a także do restauracji palestyńskiej na imprezy organizowane przez arabskie stowarzyszenia studenckie.

Już poza tą sprawą wspomnę, że parokrotnie miewałem później kontakty z lekarzami narodowości syryjskiej, wykształconymi i pracującymi w Polsce. Bez związku z panem Sinanem, po prostu lekarze w Polsce pracujący.

Członkostwo PAN

Akademia Nauk prócz administracji i instytucji do niej należących (biblioteki, archiwa, stacje zagraniczne, zakłady pomocnicze), składa się z trzech głównych członów: członków PAN, instytutów naukowych oraz komitetów naukowych. Członkowie są dwóch kategorii: rzeczywiści i korespondencyjni, w sumie nie

GARŚĆ WSPOMNIENI Z MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W SFERZE NAUKI

więcej niż z 350 osób, członków komitetów jest 10-krotnie więcej (bez ścisłych limitów), o instytutach trochę piszę tutaj. By zostać członkiem korespondentem (najpierw, to jest pierwszy szczebel) trzeba być zgłoszonym przez członków PAN lub przez radę naukową, przejść przez trudną procedurę opiniowania i wyborów. Tak już jest od lat, że za każdym razem PAN zyskuje w takich wyborach pewną liczbę nowych członków (na miejsca „zwolnione”) oraz wielokrotnie większą liczbę nieprzyjaciół, czyli tych, którzy nie przeszli przez sита wyborcze...

Mnie wybrano członkiem korespondentem w roku 1998, a rzeczywiście 15 lat później.

Wiceprezes PAN

Dyrektorem ICHF byłem do końca I kwartału 2003, kiedy w wyniku wyborów w PAN, podjąłem obowiązki wiceprezesa Polskiej Akademii Nauk¹⁵. Nie od początku roku, bo pierwsze podejście do wyborów było nieskuteczne, więc po drugiej próbie. Kadencja zaczęła się nam 1 kwietnia, byliśmy zaproszeni na spotkanie z premierem Leszkiem Millerem, wraz z ustępującymi prezesami. Ciekawe, że na koniec kadencji już nie byliśmy zaproszeni przez ówczesnego premiera, byli tylko nowi prezesi.

Jako wiceprezes PAN miałem w Pałacu Kultury na XXVI piętrze ogromny, ponad stumetrowy gabinet z własnym zapleczem sanitarnym. Istniejący do teraz, to jest pozostałość z dawnych czasów, gdy Akademia miała prezesa, wybranego przez zgromadzenie członków i wypełniającego obowiązki reprezentacyjne, oraz sekretarza naukowego, mianowanego przez rząd i kierującego działaniami PAN. To była instytucja potężna, dysponująca finansami na funkcjonowanie wszystkich placówek i administracji łącznie, rzecz jasna, ze stacjami naukowymi za granicą. Gabinety prezesa i sekretarza naukowego musiały być porównywalne, jeśli nie identyczne i to zostało do dziś, z tym, że nie ma sekretarza naukowego, więc „jego” gabinet przypada I wiceprezesowi. Tam jest też tak, w przedpokoju części sanitarnej, że widoczne są drzwi do kolejnego pomieszczenia, obecnie służącego jako sala seminaryjna. Przypuszczam, że dawniej było to pomieszczenie mieszkalne sekretarza naukowego, na wypadek, gdyby się nie wybierał do domu z tych czy innych względów. Identycznie wygląda gabinet prezesa, na XXVI piętrze, w całości należącej do władz PAN. Pozostali wiceprezesi mają bardzo eleganckie gabinety, nic ująć, ale już nie tak okazałe. W „moim” gabinecie nakręcano fragmenty filmów z „epoki”, jak mi mówiono, np. „herbatka u Stalina”. Pan Zanussi parokrotnie prosił mnie o udostępnienie gabinetu do nakręcenia jakichś scen, oczywiście dośtawiał takie zgody. Z wyposażeniem tego gabinetu miałem pewną przygodę. Otóż

¹⁵ Wcześniej, rzecz jasna, musiałem zostać zaproszony do udziału w tych wyborach. Zrobił to kandydujący na stanowisko Prezesa profesor Andrzej Legocki, podczas jakiegoś wspólnego obiadu. Pamiętam, że zachowałem się niegrzecznie, bo roześmiałem się sądząc, że to żart... Potem przeprosiłem Andrzeja Legockiego, propozycja była porządna.

w trakcie testów uczuleniowych okazało się, że jestem silnie uczulony na roztocza. Wzruszyłem ramionami, ale lekarka skarciła mnie mówiąc: „proszę pana, to jest zła wiadomość, bo te roztocza są wszędzie”. Skojarzyłem to z doświadczeniem z mojego gabinetu. Otóż dostawałem tam gorączki i źle się czułem, jeżeli przychodziło mi w gabinecie spędzić więcej czasu. A miałem tam bardzo stary, zabytkowy dywan. Ponieważ bardzo podobał się prezesowi Legockiemu, to zapytałem, czy by go nie chciał do swojego gabinetu. On chętnie zgodził się, a moje dolegliwości ustąpiły, naprawdę.

Z naszego mieszkania na Bemowie miałem wówczas świetny dojazd do PKiN, więc jeździłem autobusami. Do momentu, gdy sekretariat mnie upomniał, że „kierowcy czekają”. Wyszło na to, że mogliby stracić pracę, gdybym ich zlekceważył. Więc zacząłem jeździć jak VIP. Raz się zdarzyło śmiesznie, gdy byliśmy oboje z żoną zaproszeni na jakieś super eleganckie przyjęcie. Auto czekało, Ewa się zestroiła, ja w najlepszym garniturze i ruszamy. Po wyjściu naciskam na zatrząsk, a żona pyta „masz klucz?” I okazało się, że mamy kolosalny problem. Bo do tego zatrząsku nikt nie umie dorobić klucza (sprawdziliśmy telefonicznie), a wyłamanie drzwi jest bardzo trudne, bo poprzedni lokatorzy to pozabezpieczali. Akurat wtedy na szczytowej ścianie naszego domu stało rusztowanie, bo robiono ocieplenie. Nasze mieszkanie sąsiaduje z tą ścianą. Wydawało się możliwe przedarcie się przez okno. Najpierw zatem pojechaliśmy do mojego laboratorium w Instytucie, po diament do cięcia szkła. Z nim się wdrapałem na nasze 5 piętro po rusztowaniu (nie bez kłopotów), potem skok na daszek obok okna i rysowanie szyby. A tu niespodzianka. To, co widzimy na gangsterskich filmach, z łatwym wyjęciem obrysowanego kawałka szyby, tutaj nie działa! Próbowałem butem, potem sąsiad z dołu podał mi młotek na kiju i nic! Wreszcie wybiłem tę szybę, w raczej niekulturalny sposób i wszedłem do kuchni. Tak skończyła się wyprawa na eleganckie przyjęcie... Zyskałem tylko uznanie kierowcy, pana Mirka, który cierpliwie obserwował te zmagania.

Elegancko zajeżdżałem na spotkania u pana Prezydenta, pod same drzwi Pałacu przy salutujących wartownikach.

Kiedyś w sobotę zorganizowałem w gabinecie „sesję” z wnukami, których fotografowałem na tle... Zaprosiłem też, innym razem, swoją mamę, nie sprawiając jej chyba szczególnej radości. Ale goście z zagranicy chętnie się tam dawali fotografować.

W tej nowej funkcji też trafiłem na ciężkie zadania. PAN miała 84 placówki badawcze, na ogół wysokiej rangi i kategorii, ale także kilka słabych, a nawet jedną, niewielką wprawdzie, lecz należącą do piątej, najniższej kategorii w ówczesnej klasyfikacji Komitetu Badań Naukowych. Ponieważ podstawowym zakresem moich obowiązków jako wiceprezesa było nadzorowanie funkcjonowania placówek naukowych, to musiałem się tym poważnie zająć. Prezes Legocki powołał zespół roboczy do tych spraw. Ja byłem jego przewodniczącym, a członkami byli szefowie siedmiu wydziałów Akademii. Wykonaliśmy sporą robotę, m.in. doprowadzając do solidnej reorganizacji 14 placówek badawczych PAN i zmniejszając ogólną ich liczbę do 76. Popełniłem przy tym pewien błąd proceduralny, bo nie przyszło mi do głowy, żeby protokołować zebrania tego zespołu. Później pani inspektor z Najwyższej Izby Kontroli pytała mnie, czy ten zespół w ogóle podjął działalność

GARŚĆ WSPOMNIENI Z MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W SFERZE NAUKI

i czy doszło do jakiejś reformy placówek... Bo nie było protokołów. Nawet moja prezentacja ze Zgromadzenia Ogólnego PAN i tekst wydrukowany w czasopiśmie „Nauka” jej nie zaspokajały. To nauzka dla następców, przekazałem to kolegom i pewnie wszystkie rozmowy prowadzili w obecności protokolanta... Do oceny placówek konieczne było m.in. ich wizytowanie, co wykonywałem zawsze w towarzystwie szefa właściwego wydziału. Trochę się obawiałem Wydziału I, z prof. Samsonowiczem na czele, ale zupełnie niesłusznie! On zachowywał się absolutnie fachowo, merytorycznie i obiektywnie. Wspaniale to wspominam. A nie wszyscy tacy byli, szczególnie jeden kolega mnie po prostu nabrał, zwodząc przez parę lat kolejnymi zapewnieniami i do żadnej reformy jego Wydziału nie doszło.

Wybrane dane o reformie, według stanu z roku 2005, poniżej:

Przekształcenia zrealizowane

Nazwa placówki PAN	Wydział PAN	Kategoria	Data przekształcenia
Zakład Genetyki Człowieka	VI	1	Przekształcenie w Instytut Genetyki Człowieka 01.04.2003 r.
Zakład Fizjologii Roślin im. F. Górskiego	V	1	Przekształcenie w Instytut Fizjologii Roślin 30.06.2003 r.
Instytut Ekologii	II	3	Przekształcenie w Centrum Badań Ekologicznych 01.10.2002 r.
Centrum Badań Wysokociśnieniowych	III	1	Przekształcenie w Instytut Wysokich Ciśnień 01.10.2004 r.
Centrum Mikrobiologii i Wirusologii	II	3	Zakończenie likwidacji 31.12.2003; przejęcie zadań przez Centrum Biologii Medycznej 01.01.2004 r.
Centrum Mikrobiologii i Wirusologii	II	3	Zakończenie likwidacji 31.12.2003; przejęcie zadań przez Centrum Biologii Medycznej
Zakład Amin Biogennych	VI	3	01.01.2004 r.

Zmiany w toku

Nazwa placówki PAN	Wydział PAN	Kategoria	Uwagi
Zakład Archeologii Śródziemnomorskiej	I	M	Utworzenie Instytutu Kultur Śródziemnomorskich i Orientalnych
Zakład Krajów Pozaeuropejskich	I	M	

JANUSZ LIPKOWSKI

Międzynarodowe Centrum Ekologii	II	3	Utworzenie Międzynarodowego Instytutu Eko-Hydrologii pod auspicjami UNESCO
Stacja Badawcza Rolnictwa Ekologicznego i Hodowli Zachowawczej Zwierząt	V	M	Zakończony pierwszy etap restrukturyzacji
Międzynarodowe Laboratorium Silnych Pól Magnetycznych i Niskich Temperatur	placówka poza-wydziałowa	nie dotyczy	Przekształcenie w instytut Międzynarodowe Laboratorium Silnych Pól Magnetycznych i Niskich Temperatur PAN

Zmiany w przygotowaniu

Nazwa placówki PAN	Wydział PAN	Kategoria	Uwagi
Centrum Chemii Polimerów	III	2	Koncepcja konsolidacji placówek naukowych w dziedzinie chemii na Śląsku
Zakład Karbochemii	III	2	
Instytut Podstaw Inżynierii Środowiska	VII	3	
Instytut Mechaniki Górotworu	VII	3	Wstępne rozmowy w sprawie połączenia z placówką AGH

To było bardzo pracowite zajęcie, angażujące także przewodniczących Wydziałów PAN. Ale konieczne do wykonania. Większość instytutów czy zakładów Akademii Nauk tworzono dla wybitnych uczonych. Potem dzieje były różne. Zdarzało się, że następcy założyciela byli doskonali, ale nie może być to regułą. Ponadto tematyka z biegiem lat zmienia się, wymaga uważnej aktualizacji. Przykładowo: Instytut Mechaniki Górotworu zakładali najwybitniejsi polscy uczeni z tej tematyki, ale wszystko pozmieniało się. Gdy wizytowaliśmy ten Instytut, to dowiedzieliśmy się, że ich najbardziej „nośna” tematyka w tamtym czasie to była problematyka propagacji pożarów w kopalniach. Niezwykle ważne, ale mechaniki górotworu już było niewiele. Z satysfakcją obserwowałem, gdy zreformowane placówki zyskiwały w krajowych rankingach. Dwie małe placówki w Łodzi, po połączeniu w Instytut i zmianach kadrowych, stały się wiodącą placówką naukową w swojej dziedzinie. Podobnie w Gliwicach i Zabrze, powstał jeden instytut z dwóch i od-tąd wiedzie prym w swoim zakresie (w tabeli wymienione „w trakcie”). Niektóre efekty weszły w życie, gdy już wiceprezesem nie byłem, np. 1 stycznia 2007 roku (moja kadencja upłynęła 31 grudnia 2006 roku), więc „ojców sukcesu” zrobiło się więcej, ale to bez znaczenia, ważne, że udało się.

W sprawach placówek naukowych PAN najwięcej uwagi przywiązywaliśmy do ukończenia restrukturyzacji (jak wyżej). Teraz wymienię w największym skró-

GARŚĆ WSPOMNIENÍ Z MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W SFERZE NAUKI

cie informacje o kilku innych sprawach. Są to plany przekształcenia kilku placówek na Śląsku: Instytutu Podstaw Inżynierii Środowiska, Zakładu Karbochemii, Centrum Chemii Polimerów oraz dwóch instytutów krakowskich: Instytutu Mechaniki Górotworu i Instytutu Gospodarki Surowcami Mineralnymi i Energią. Ich sytuacja była bardzo zróżnicowana. Mieliśmy plany utworzenia z tych pięciu placówek dwóch silnych instytutów. Plany były kilkakrotnie modyfikowane, poszukiwaliśmy partnerów także spoza Akademii, jednak do połączeń międzyresortowych nie doszło, częściowo z uwagi na nie zawsze jasno sprecyzowaną sytuację partnerów spoza PAN. Utworzony został Międzynarodowy Instytut Silnych Pól Magnetycznych i Badań Strukturalnych we Wrocławiu – nie miał szczęścia do nowego kierownictwa. Zaawansowane było tworzenie Międzynarodowego Centrum Ekohydrologii w Łodzi, placówki opartej o porozumienie PAN z Uniwersytetem Łódzkim oraz mającej auspicje UNESCO. Podjęliśmy usilne starania o utworzenie nowych „kampusów”: w Warszawie na Woli (ICHF i ICHO PAN), w Krakowie na kampusie UJ (placówki), na Mazurach zaś Centrum Bioróżnorodności. Na warszawskim kampusie Ochota powstała nowa siedziba IPPT, do której miało przejść Centrum Ekologii PAN.

Sprawa, z którą borykaliśmy się nieustannie, acz wciąż bez oczekiwanych efektów, to należyte usytuowanie i rozwój badań w dziedzinie szeroko rozumianej ekologii. Obciążenie złymi nawykami i zwykłymi zaniedbaniami, niekiedy graniczącymi z działaniami przestępczymi, jest w tym zakresie szczególnie trudne do przewyciężenia. Naturalna bioróżnorodność jest, jak nam doskonale wiadomo, jednym ze skarbów, jakie dziedziczymy i naszą misją wobec przyszłych pokoleń jest jej zachowanie w należytych stanie. Temu zadaniu poświęcaliśmy wiele uwagi i wysiłków. Zamierzaliśmy utworzyć na terenie Mazur (Baranowo, Kosewo, Mikołajki) nowoczesne Centrum Bioróżnorodności PAN, Centrum angażujące wszystkich partnerów, w tym uczelnie wyższe i lokalne organizacje samorządowe. Parę ostatnich lat w tej kwestii poświęcić musieliśmy porządkowaniu sytuacji lokalnych, usuwaniu zagrożeń itp. sprawom, o których nie chciałbym pisać szerzej, bo nie doszło do porządnego rozwiązania. To nie leżało bezpośrednio w mojej gestii, ale starałem się przyłożyć jakoś do rozwiązania problemów, wizytowałem te placówki parokrotnie w towarzystwie najbardziej odpowiedzialnych osób.

Za naszej kadencji dojrzywała w placówkach PAN organizacja międzynarodowych zespołów doradczych. Z pewnym zaniepokojeniem konstatowaliśmy, że w niektórych instytutach projekt ten wywołał zdziwienie graniczące z nieufnością, na szczęście nie była to reakcja powszechna. Akcja powoływania zespołów międzynarodowych szybko postępowała. Jej ukończenie, zgodnie z założonym harmonogramem, miało nastąpić w roku 2006 i wszystko wskazywało na to, że zadanie zostanie wypełnione. Zatem nasze instytuty badawcze, ogólnie uznawane za centra badawcze o dobrym międzynarodowym standardzie, stały się jeszcze bardziej otwarte na oceny i inicjatywy międzynarodowe. Temu też miały służyć rozmaite pomysły szczegółowe, jak np. zamieszczanie na stronach internetowych placówek PAN szczegółowych zestawień ich aktualnego dorobku naukowego, dydaktycznego i organizacyjnego. Uważaliśmy, że idea ta powinna obowiązywać powszechnie, w fazie pierwszej instytuty PAN winny służyć przykładem, tak jak to

ma miejsce w przypadku corocznych sesji sprawozdawczych, które stały się regułą powszechną.

Mogę powiedzieć, że kilka podstawowych zamierzeń zostało wypełnionych w całości. Należą tu sprawy organizowania (ewentualnie współorganizowania) przez nasze placówki naukowe studiów doktoranckich, corocznych konferencji podsumowujących osiągnięcia i stanowiących forum dla dyskusji zamierzeń na najbliższą przyszłość oraz międzynarodowych rad doradczych. Instytuty PAN, które chlubiły się słusznie swoją otwartością na świat nauki i nie tylko, stały się instytucjami o jeszcze wyraźniejszej strukturze, szeroko otwartej dla całego środowiska, aktywnie uczestniczącymi w życiu naukowym, dydaktycznym i gospodarczym, stosownie do wymogów nowoczesnych strategii rozwoju i postępu. Nie będziemy mieli placówek o miernym poziomie uprawianej w nich nauki, będziemy tworzyć warunki do powstawania nowych ośrodków badawczych na najwyższym poziomie oraz będziemy uczestniczyć w budowie nowoczesnej infrastruktury nauki w kraju.

Szczególnie podkreślam intensyfikację współdziałania z KRASP-em¹⁶ oraz współpracę z Ministerstwem Nauki w kwestii reformy systemu nauki w kraju. Utworzyliśmy zespół porozumiewawczy, wymienialiśmy nasze poglądy na temat optymalnych rozwiązań systemowych. Przypominałem, że PAN skierowała do Premiera RP własne propozycje, wspólnie z KRASP-em, wysłała również apel o uwzględnienie naszych kompetencji w sprawach reformy. Nie otrzymaliśmy wprawdzie odpowiedzi bezpośrednio od Premiera, ale w owym czasie porozumienia na linii PAN – MNiSW chcieliśmy interpretować jako wyraz życzliwego odniesienia się do naszych inicjatyw. Tak wyobrażałem sobie sytuację przed kilkunastu laty, dzisiaj jest, niestety inaczej.

Tutaj taka uwaga: w odróżnieniu od dawnej fazy działania PAN, gdy dysponowała ona funduszami na funkcjonowanie swoich placówek, w „moich” czasach już tak nie było. Każdy instytut indywidualnie występował do Komitetu Badań Naukowych (potem Ministerstwa) z wnioskiem o dofinansowanie działalności, podlegał tam ocenie i stamtąd otrzymywał decyzje finansowe. To stawiało władze PAN w bardzo niezręcznej sytuacji, gdy zamierzały coś zmienić w swoich placówkach. Podczas wizyt, moich i szefa właściwego wydziału, dawało się wyraźnie odczuć takie pytające nastawienie dyrekcji placówek (piszę w uproszczeniu, rzecz jasna): „czego wy właściwie od nas chcecie, nie możecie wesprzeć naszych starań, jedynie możecie zaszkodzić”. I to była, w zasadzie, prawda. A my musieliśmy dbać o należyty, wysoki poziom badań w tych placówkach. Organizacyjny nonsens. Ale instytuty wolały to od wcześniejszego uzależnienia od biurokracji PAN-owskiej... Taki bagaż bardzo utrudniał jakąkolwiek działalność reformatorską. Że mimo wszystko się udało, to duża satysfakcja. Ale ten system wymaga korekty. Jedynowładztwo ministerialne w kwestiach finansowych dla każdej instytucji z osobna, to nonsens z punktu widzenia PAN, bo tam nikt nie ponosi odpowiedzialności za poziom badań instytutów! Zaś próby „reform” systemu nie pachną dobrze. MPG

¹⁶ Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich. Często reprezentowałem PAN na posiedzeniach tego organu, o niektórych kwestiach szczegółowych wspominam w tekście.

jest wzorem do naśladowania! W ostatnim czasie pojawiła się, raczej niespodziewanie, koncepcja utworzenia polskiego analogu MPG pod nazwą Towarzystwo Marii Skłodowskiej-Curie. Ciekawy pomysł, ale obawiam się, że w jego tle są nieprzyjazne zamiary wobec Polskiej Akademii Nauk... Potem powstał pomysł ustanowienia Międzynarodowej Akademii Kopernikańskiej. Kolejny nonsens, ciekawe, do czego prowadzący... Jest fascynujące, że koncepcje pochodzące z PAN, albo wzorowane na najlepszych przykładach zagranicznych, są całkowicie ignorowane, a powstają nowe, z niczego. Jak mawiał niegdyś jeden z moich przyjaciół: „twórcze, przez duże TFU”... Jestem ABSOLUTNIE ZA nowymi koncepcjami. Pod warunkiem, że mądrze przygotowanymi i opracowanymi merytorycznie. Gdy, swego czasu, Ministerstwo tworzyło jakiś tam, kolejny projekt wzorowany, podobno, na doświadczeniach zagranicznych, to zwróciłem się do wiceministra za to odpowiedzialnego o te zagraniczne dane, na jakich się opierali. I dowiedziałem się, że w Niemczech działa Fundacja im. Humboldta (prawda), ale o Max-Planck Gesellschaft ani słowa! A tam jest czołowa niemiecka nauka! Więc rozczarowanie kompletne i obawa o przyszłość.

Ta sprawa obecnie wygląda groźnie. Nauka w Polsce jest niedoceniana i niedofinansowana. Tego się nie naprawia, a tworzy się pseudonaukowe koncepcje, które to do końca zepsują, zdolna młodzież wyjedzie (co już ma miejsce) i będziemy tworzyć kolejne iluzje. I pytam: dlaczego? Czemu zawdzięczamy to kolejne rozczarowanie?

Braliśmy udział w staraniach o poszerzenie bazy instytutowej PAN poprzez włączenie placówek do tego aspirujących spoza Akademii. Już w pierwszym roku naszej kadencji udało się przyjąć do PAN Instytut Fizyki Jądrowej im. Niewodniczańskiego w Krakowie. Sprawa wcześniej przygotowana, więc było łatwo. Możliwie trwały prace nad włączeniem Instytutu Problemów Jądrowych w Świerku. W tej sprawie wizytowałem kilkakrotnie dyrektora departamentu postępu technicznego w Ministerstwie Gospodarki. W PAN doprowadziliśmy do przyjęcia wszystkich, niezbędnych uchwał, w Wydziale III i w Prezydium i czekaliśmy na zgody ministerialne. Które jednak nie nadeszły. Ministerstwo Gospodarki uznało, że to byłby istotny uszczerbek w ich stanie posiadania¹⁷ i w końcu nie doszło do tej transformacji. Można to podsumować tak, że formalny stan posiadania nieruchomości okazał się ważniejszy od całości innych spraw: naukowych w szczególności. Tego typu trudności pojawiały się zawsze, gdy w grę wchodziły kwestie własności. Był niegdyś okres, gdy Akademii przekazywano nieruchomości zbędne, albo nie mające dobrego gospodarza. Ale to dawno minęło, teraz nastały czasy odbierania Akademii różnych dóbr. Podobnie jak w Rosji, tam nawet pozbawiono Akademię Nauk prawa dysponowania majątkiem, do tego powołano specjalną agendę rządową. Dla mnie w PAN wypadło pod tym względem wygodnie: sprawami własności zajmowała się pani Kanclerz, była wiceminister z KBN, Małgorzata Kozłowska.

¹⁷ W Świerku istniały wtedy: Instytut Problemów Jądrowych, na dobrym poziomie naukowym, ten o którym mowa, Instytut Energetyki Jądrowej, zarządzający reaktorem i raczej słaby po względem naukowym oraz Zakład Produkcji Izotopów. Teren kampusu jest podzielony między te wszystkie instytucje i Ministerstwo, pokazując nam tę mapkę, jasno stwierdziło, że wyodrębnienie IPJ nie jest możliwe...

To na niej i na panu Prezesie Legockim koncentrowały się ataki ówczesnego prezesa TNW, prof. Andrzeja Paszewskiego, który domagał się (dla TNW) udziałów w sprzedawanych działkach w Konstancinie.

Jest taka prosta, podstawowa zasada organizacyjna, gdy chcemy sprawę porządną załatwić. Wtedy trzeba: (1) postawić cel i (2) dać możliwości działania. Byłbym wdzięczny za wyjaśnienie, jak te kwestie są załatwione (?) dla PAN. Bo, proszę wybaczyć, wrażenie jest takie, że niczego od Akademii nie potrzebujemy i chcemy mieć z tym święty spokój. Bardzo to przerysowałem, tak źle nie jest i PAN sobie radzi, jest w świecie instytucją szanowaną, a jej członkowie to wybitni uczeni. A większość instytutów świetnie plasuje się w międzynarodowej konkurencji. Ale stosunek naszych władz do Akademii robi wrażenie takie, jak to opisałem... Ale warto nad tym systemem popracować, z lepszym skutkiem niż to nam się udawało.

Przy tej sposobności dodam, że kontakty z kolegami pracującymi w instytutach poza PAN pogłębiają pesymistyczne, wyżej wspomniane nastroje. Administracja państwowa próbuje coś tam zrobić ze „swoimi” placówkami badawczymi. Przed kilku laty postanowiono, na przykład, że rady naukowe w nich będzie powoływało właściwe ministerstwo. I co? Opowiadał mi kolega, że na I posiedzenie wszyscy ci nominaci przybyli gremialnie, ale gdy się okazało, że za to nie przysługuje odrębne wynagrodzenie, to na kolejnym zebraniu już ich nie było... Taki pejzaż...

Wspomnę też, że prezes Legocki zorganizował nam wyjazd do Watykanu i prywatną audiencję u naszego papieża (2004). Nam, to znaczy wiceprezesom i sobie. Każdy z nas zabrał parę osób z rodziny, ja wziąłem żonę i czworo wnucząt i pojednaliśmy. Oczywiście w całości na własny, prywatny koszt. Legockiemu w organizacji audiencji pomagał ówczesny biskup poznański, znany nam teraz powszechnie pan Jędraszewski. Mamy go na zdjęciach z Papieżem. Mieliśmy też następnego dnia po audiencji specjalne miejsca tuż przy ołtarzu podczas mszy na placu św. Piotra. Bardzo ładnie i elegancko, chociaż dzieciarnia z trudem wytrzymała to uroczyste, ale długie nabożeństwo.

Służbowo wyjechałem wraz z prezesem Legockim do Niemiec na spotkanie z władzami Max Planck Gesellschaft. Było to nadzwyczaj pouczające doświadczenie. Zapoznaliśmy się bliżej z zasadami i ogólną koncepcją funkcjonowania tej niezwykle ważnej instytucji naukowej, zwiedzając także wybrane laboratoria (instytuty), nie tylko biura MPG. Po powrocie do Warszawy próbowałem to i owo wykorzystać w organizacji Polskiej Akademii Nauk, ale nieskutecznie. Wzmianki na ten temat na posiedzeniach Zgromadzenia Ogólnego PAN nie były mile witane, nawet dało się słyszeć pomruki niezadowolenia, chociaż wszelkie sugestie z mojej strony były formułowane niezwykle ostrożnie. Nie rozumiem tego. Sam należę do pokolenia, które za Niemcami nie przepada, ale jeżeli mają wzorce warte naśladowania, to czemu nie? Jednak nie udało się. Jedyne, co przez krótki czas zadziało, to wybrane wzory organizacyjne samego biura MPG, zwłaszcza tzw. *liaison office*. Zaprosiliśmy fachowców z Niemiec, było ciekawe zebranie i zainteresowanie u nas, ale niczego nie wdrożono naprawdę¹⁸. Nie wspominam o istniejącej wcześniej współpracy instytucjonalnej

¹⁸ Poza jedną sprawą, która po latach została jakoś przyjęta. Otóż w MPG każdy wiceprezes pełni nadzór i opiekę nad jednym wydziałem, nie ma odrębnych struktur wy-

GARŚĆ WSPOMNIENI Z MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W SFERZE NAUKI

w dziedzinie biologii molekularnej i komórkowej. To funkcjonowało przed naszą kadencją i działa nadal.

W MPG jest zasada, że laboratorium ustępującego profesora (zazwyczaj przechodzącego na emeryturę) ulega likwidacji, zaś władze MPG rozpatrują kwestie tworzenia w to miejsce nowego laboratorium¹⁹. Szuka się odpowiedzi na dwa podstawowe pytania: (1) jaka dziedzina nauki wymaga w danym czasie szczególnego dofinansowania oraz (2) czy znany jest niemiecki, wybitny uczony w (odpowiednim wieku), któremu można by powierzyć zadania zorganizowania pożądanego laboratorium. Gdy się kandydat znajdzie, to dostaje właściwą ofertę, lecz to nie jest koniec, a początek gehenny. Bo ma przygotować projekt i go poddać wszechstronnej dyskusji w środowisku! Jest to obserwowane przez MPG i, jeżeli spotka się z oceną pozytywną, to kandydat otrzymuje nominację na szefa laboratorium, a wraz z nią pełną swobodę w gospodarowaniu niemałymi środkami przyznanymi na działalność. Może je wydać na zatrudnienie pracowników etatowych, albo stażystów czy studentów, albo na własne podróże naukowe. Czy też na odczynniki, książki, komputery itd., nikt mu się w to nie wtrąci! Nawet dyrektor Instytutu, do którego to nowe laboratorium przynależy, bo dyrektorskie funkcje rotacyjnie pełni szefowie laboratoriów. U nas nikt o takiej organizacji nawet nie marzył, mimo, że doskonale znamy ten system u sąsiadów.

Prezes zorganizował nam również wyprawę do Kanady dla poznania tamtejszej organizacji uniwersyteckiej oraz Rady Badań Naukowych i Technologii. Byliśmy w Montrealu (McGill University), w Ottawie (Rada) i Toronto. Bardzo pouczające i ważne doświadczenie. Spotkałem tam kilku kolegów. W Montrealu w polskiej ambasadzie kolegę „Reytaniaka”, Andrzeja Kowalewskiego, w randze konsula, oraz Andrzeja Chociwskiego, też kolegę z klasy, od lat zakotwiczonego w Kanadzie. W Ottawie prof. Ripmeestera, znajomego z naszych konferencji, oraz dawnego stażystę z Nowosybirsk, dr Udaczina. Z McGill związany jest inny mój dawny stażysta, dr Sołdatow, ale nie spotkałem go tam podczas naszej wizyty. Dość intensywnie pracowaliśmy podczas tych wizyt, zaś jednodniowym odpoczynkiem była wycieczka z Toronto do Niagary, zorganizowana przez tamtejszy polski konsulat.

Miałem ochotę przedłużyć pobyt o odwiedzin w Saskatoon, gdzie zbudowano synchrotron. Nie udało się wtedy, bo budowa nie była odpowiednio zaawansowana, więc poprosiłem o zorganizowanie odrębnej delegacji w terminie późniejszym. Doszło do tego i mogłem się przyjrzeć tej instalacji, zwanej Canadian Light Source. Nie wszystko mi imponowało, w szczególności zamiary, by to stało się w przyszłości źródłem dochodu. Tak zrobiono w Korei, ale na zasadzie współuczestniczenia firm prywatnych w budowie i wykorzystaniu, nie zaś przez oferowanie

działowych. U nas ten schemat przyjęto, co jest właściwie fikcją, bo istnieją wydziały ze swoją odrębną administracją i szefami, zwanymi dla niepoznaki dziekanami... Dziwne, bo dziekan wykonuje robotę, ale decyzje podejmuje (przynajmniej formalnie) właściwy wiceprezes.

¹⁹ Wiąże się to z niemałymi trudnościami, gdy trzeba zwalniać kadrę techniczno-administracyjną i dogadywać porozumienia z władzami lokalnymi. Ale jakoś sobie radzą...

urządzenia na zasadach komercyjnych. Ciekaw jestem, jak to obecnie wygląda, może się dowiem, bo szefem jednej ze stacji badawczych tego synchrotronu jest rodowity polski krystalograf, dr Paweł Grochulski. W tamtym czasie dopiero budujący swoją stację.

Inną kwestią, którą bezskutecznie próbowałem załatwić w Warszawie, był problem tzw. stanu spoczynku dla tytułarnych profesorów. Zaczęło się jeszcze, gdy działałem w tzw. konferencji dyrektorów²⁰ instytutów PAN-owskich. I nie był to mój oryginalny pomysł, podsunął mi go prof. Zielenkiewicz. Ja to wielokrotnie wysuwałem, na ogół zupełnie nieskutecznie, ale powoli ten pomysł „przedzierał” się do świadomości koleżeństwa. W tle tej sprawy było, oczywiście załatwienie profesorom tytułarnym przyzwoitej emerytury, ale nie to było najważniejsze. Przede wszystkim chodziło o porządne zorganizowanie zmian pokoleniowych w nauce. Profesor odchodzący w stan spoczynku zwalniałby wszystkie swoje funkcje etatowe. Mógłby, na zasadach wolontariatu i bez odrębnego wynagrodzenia pracować naukowo, ale nie byłoby cienia konfliktu pokoleniowego. Muszę dodać, że: (1) emerytury profesorskie były żenująco kiepskie i (2) w związku z tym

²⁰ Ciekawa myśl, w czasie mojego dyrektorowania IChF PAN przyniósł ją prof. Henryk Szymczak (podejrzewam, że w porozumieniu z prof. Kołodziejczakiem). Była to próba zorganizowania w Akademii swego rodzaju „struktury poziomej” wspomagającej myśl niezależną administrację PAN-owską. Początkowo udało się zgromadzić dyrektorów 30 instytutów, głównie z zakresu nauk ścisłych i technicznych. Potem to się poszerzyło i władze PAN postanowiły nadać temu formę urzędową. Bez zmiany ustawy można było tylko wprowadzić do statutu PAN i to w postaci organu doradczego dla Prezesa. Tak się zaczęło formalne istnienie tej Rady, przedtem nieoficjalnie „konferencji”. W konferencji nie było struktury zarządzającej, wspólnie z prof. Szymczakiem byliśmy upoważnieni przez członków (dyrektorów) do jej reprezentowania. Potem Rada otrzymała statut, odgórnie i jednostronnie narzucony przez prezesa Leszka Kuźnickiego. Miała po jednym przedstawicielu z każdego wydziału PAN i przewodniczącego, którym został Michał Kleiber (nie znałem go wcześniej). Ja zostałem wiceprzewodniczącym a na mój wniosek, na zebraniu założycielskim prowadzonym przez prezesa Kuźnickiego, powołano także drugiego wiceprzewodniczącego z nauk humanistycznych. Został nim profesor Stanisław Bylina, dyrektor Instytutu Historii PAN. Przez lata działałem zatem wspólnie z Michałem Kleiberem. Wyglądało to tak, że ja przygotowywałem projekty wniosków i wystąpień, posyłałem Michałowi e-mailem (już wtedy to mieliśmy), on to zmieniał (zawsze łagodził) i potem sam z tym chodził, gdzie trzeba było. Miałem pełne zaufanie do niego, choć po latach trochę tej pewności mi ubyło... A zaczęło się od takiej sprawy: w wielu wystąpieniach na rzecz instytutów PAN-owskich posługiwaliśmy się KBN-owskimi danymi o dynamice zmian finansowania placówek należących do rozmaitych resortów. Tam dobitnie było widać, że najbardziej dyskryminowane w owych latach były instytuty PAN. Gdy na pierwszym zebraniu Kleibera, już jako szefa Komitetu Badań Naukowych, z dużym gronem, wtedy dyrektorów tzw. instytutów resortowych, słuchałem jego wystąpienia, to zobaczyłem ten wykres, ale komentarz MK mnie wprawił w osłupienie. Powiedział tak: „widoczna jest tendencja by preferencyjnie finansować wyższe uczelnie. Myślę, że nie należy się tego wstydzić!” To osłabiło moją wcześniejszą, bezgraniczną wiarę w szczerłość Michała.

GARŚĆ WSPOMNIENÍ Z MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W SFERZE NAUKI

macierzyste ich instytucje robiły wiele, by emerytowanych profesorów nie zostawić bez pewnej opieki (i wykorzystywać przy okazji). Zrobiliśmy wtedy sondaż w instytutach PAN-owskich (to ja, wtedy wiceprezes) i politechnikach (prof. Tadeusz Luty, prezes KRASP). Wyszło niezawodnie, że przejście na system „stan spoczynku” nie spowodowałoby istotnego, dodatkowego obciążenia dla budżetu państwa. Sytuacja w różnych instytucjach wyglądała bardzo różnie, odpowiednio do ich finansów. Niektórzy kontynuowali zatrudnienie emerytowanych profesorów w pełnym zakresie, innych na nic nie było stać, ale średnio to były znaczące kwoty i można było to, zwyczajnie, inaczej zorganizować. Tak się składało, że na mnie spadało zadanie forsowania tej kwestii. Dwukrotnie byłem blisko pełnego sukcesu. Po raz pierwszy, gdy mieliśmy w Pałacu w Jabłonce spotkanie z prezydentem RP, panem Aleksandrem Kwaśniewskim, który przybył w licznej asyście ministrów ówczesnego rządu. Na zebraniu z szefami KRASP-u przed tym spotkaniem upoważniono mnie, bym tę sprawę zreferował, co oczywiście zrobiłem. I był moment, kiedy prezydent Kwaśniewski przyjaźnie zamyślił się i czekaliśmy na jego „tak”. Wtedy odezwała się ówczesna minister nauki, pani Krystyna Łybacka, mówiąc do mnie „panie profesorze, czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że nie dla wszystkich profesorów to będzie rozwiązanie korzystne?”. Chodziło jej, jak sądzę, o raczej nieliczną grupę spryciarzy wykorzystujących już istniejące możliwości. Wtedy prezydent, z właściwym sobie refleksem, obrócił sprawę w żart, mówiąc „ach, pani minister, przecież to nie jest grupa zawodowa przywiązująca wagę do finansów”... I tak skwitowano tamtą próbę, a naprawdę mało brakowało.

Po raz drugi byliśmy „tuż, tuż”, gdy ministrem nauki została pani Barbara Kudrycka. Ja nie byłem już wiceprezesem, ale zaangażowała mnie pani Minister do doraźnie powołanego zespołu przygotowującego założenia do reformy nauki i szkolnictwa wyższego. W tej roli mogłem też przypomnieć sprawę „stanu spoczynku”, co mogłoby korzystnie do reformy się przyczynić. Wydawało się, że już sprawa jest załatwiona, gdy na spotkaniu przedstawiającym założenia reformy premier Tusk zapowiedział wprowadzenie czegoś takiego. Przed licznym gronem, rektorów wszystkich uczelni i wielu zaproszonych gości, w Sali plenarnej Rady Ministrów. I co? Pani Kudrycka wzięła się do roboty, powołała jakiś zespół i spartolili sprawę dokumentnie. Najpierw im wyszło, że to będzie kosztować budżet państwa kilkadziesiąt milionów rocznie. Nonsens, *vide* nasze wcześniejsze wyliczenia. A potem wypracowali projekt, według którego profesorowie w stanie spoczynku mieliby otrzymywać dodatek do emerytury, ale tak wyliczony, by **w sumie** nie przekraczało to 70% przeciętnego wynagrodzenia profesorów w kraju. Horror i bzdura, na szczęście nic z tego potem nie wyszło. Konkluzja? Dwie panie minister załatwiły tę kwestię niezależnie od siebie, ale odmownie i definitywnie.

Dość nieoczekiwanie przyszło wspomnianej „konferencji” reagować na zmiany w systemie opieki zdrowotnej profesorów tytularnych. Lecznicę MZiOS powoli likwidowano, najpierw przekształcając ją w Lecznicę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ówczesny prezes PAN miał nadzieję, że utrzyma przywileje profesorskie i przez krótki czas to się udawało, ale nie na Emilii Plater, a w przychodni przyszpitalnej przy Wołoskiej, gdzie był oddział dla VIP-ów. To jednak szybko się skończyło, Powstała Lecznica Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, o profesorach

nikt tam nie chciał słyszeć. Tyle, że się napracowaliśmy, przygotowując pisma dla Prezesa i chodząc tu i tam w tych sprawach. To dość długo ciągnęło się, jeszcze przez cały czas mojej wiceprezury, potem przejął to mój następca, profesor Wojciech Stec, też bez powodzenia.

Jako wiceprezesowi niejednokrotnie przychodziło mi reprezentować Akademię. Na posiedzeniach Komitetu Badań Naukowych, na których ani razu nie udało mi się załatwić czegokolwiek, PAN nie była tam przyjaźnie widziana, mimo że szefem KBN był człowiek z IPPT PAN, prof. Kleiber. Ale próbowałem, oczywiście w ścisłym porozumieniu z Prezesem PAN. Bywałem też czasem na uroczystościach nadawania tytułów profesorskich. I zauważyłem ciekawe różnice w zachowaniu prezydentów Kwaśniewskiego i Kaczyńskiego. Lecha Kaczyńskiego poznałem osobiście podczas sesji w Ratuszu, jeszcze gdy był on prezydentem miasta (wtedy, gdy oznajmiano decyzję o utworzeniu Centrum Nauki „Kopernik”). Zapytałem, czy przyjmie zaproszenie do wizyty w PAN i dostałem bardzo miłą odpowiedź: „tak, bardzo chętnie, proszę do mnie zadzwonić i uzgodnimy termin”. Napisał mi odręcznie na mojej wizytówce numer swojego komórkowego telefonu i pozwolił telefonować o każdej porze. Próbowałem kilkanaście razy, lecz nie załatwiliśmy sprawy, bo pan Kaczyński albo nie miał pod ręką kalendarza, albo coś tam, a w końcu zaczął już kampanię prezydencką i do niczego nie doszło. A było o czym rozmawiać. Prezes Legocki wystąpił onegdaj z pomysłem, by odbudować Pałac Karasia (obok Pałacu Staszica, przy Krakowskim Przedmieściu), przenieść doń instytuty mające teraz siedzibę w Pałacu Staszica, a tam z kolei urządzić siedzibę władz i administracji Polskiej Akademii Nauk, zwalniając powierzchnie zajmowane w PKiN. Gdy wspomniał o tym w rozmowie z panem Lechem Kaczyńskim, prezydentem miasta, to odpowiedź była przychylna. Więc zamiar był taki, by Lech Kaczyński przyjął zaproszenie do udziału w Zgromadzeniu Ogólnym PAN i osobiście, publicznie wydał decyzję w sprawie Pałacu Karasia. Bardzo żalowaliśmy, że do tego nie doszło. Potem chodziły różne słuchy o zamiarach miasta w tej kwestii, chyba się „rozplynęło”.

Prezes Legocki zorganizował Prezydium PAN sesję wyjazdową. Do Białowięży, z wizytacją naszej placówki badawczej oraz części puszczy, także do Lublina, wizyty połączonej z wycieczką do Zamościa i okolic. Ciekawe i przyjemne.

Nienajgorzej układały się rozmowy z Rosyjską Akademią Nauk. Byliśmy zaproszeni na Dni Nauki Polskiej w Moskwie, zorganizowaliśmy spotkanie z reprezentacją RAN w Polsce. Dziś patrzę na to jak na, swego rodzaju, fasadowe imprezy, jakkolwiek miłe i interesujące. W spotkaniu z władzami RAN w Moskwie wziąłem też udział za prezury prof. Mirosława Mossakowskiego. Za stołem prezydialnym siedziało, jak się wyraził Władimir Putin, czterech prezydentów: Putin i Kwaśniewski oraz Osipow i Mossakowski („prezydenci” akademii nauk). Musieliśmy się tam stawić na 2 godziny przed sesją, osobista kontrola robiła wrażenie... Było to na terenie Instytutu Geologicznego i muzeum. Obrady sympozjalne miały miejsce w Prezydium RAN w Moskwie, w okazałym budynku na Oktiabrskoj, nieopodal pomnika Gagarina. i dowiedziałem się czegoś nieoczekiwanego: na teren tego gmachu wpuszczano tylko osoby z listy. Nie było tak, by na sympozja mogły przybyć osoby zainteresowane z moskiewskich placówek. Bardzo rozczarowujące, miałem nadzieję na liczne, nowe kontakty, a tu nic z tego.

GARŚĆ WSPOMNIENÍ Z MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W SFERZE NAUKI

Prezes Legocki delegował mnie też na Spitsbergen, z okazji nadania tamtejszej Stacji nowych insygniów. Pojechałem w towarzystwie ówczesnego wiceministra nauki, Jana Krzysztofa Frąckowiaka. Ciekawe doświadczenie, zwłaszcza zapoznanie się ze stacją badawczą PAN w Hornsund na Spitsbergenie. Mieszkaliśmy na statku badawczym Akademii Morskiej w Gdyni, który raz w roku dowozi zaopatrzenie do Stacji. Tam spotkaliśmy profesora Janię, specjalistę polarnika i glaciologa, był też prezes „Lotosu” z małżonką. Mieliśmy przygodę, bo wiatr nawiał tyle lodu, że nasz statek nie mógł dopłynąć do Hornsundu. Piotr Głowacki (z Instytutu Geofizyki PAN), który nami dowodził, załatwił nam wtedy transport helikopterem z Barentsburga (rosyjski punkt na Spitsbergenie). Nam, czyli ładunkowi oraz kilku osobom, ciężkim helikopterem transportowym. Po drodze zderzyliśmy się z ptakami i wynikł kłopot, nie było pewne, czy będziemy mogli wrócić. Ale dzielni rosyjscy piloci dali radę.

W randze wiceprezesa odbyłem kiedyś podróż służbową do Kiszyniowa. Swoim służbowym autem z kierowcą, panem Mirkiem, i mikrobusikiem, w którym jechała grupa kolegów na konferencję. Bardzo to dobrze wspominać, na granicach nam salutowali i tylko trzeba było pomaleńku przejeżdżać przez pasek odkażający (jakaś zaraza w owym czasie). Zupełnie inaczej niż w podróżach wcześniejszych (po parę godzin na każdej granicy).

Szczególnie interesującą wyprawą była delegacja do Irkucka w celu rozwinięcia współpracy z naszymi instytutami. Stałem na czele grupy, w której skład wchodził przedstawiciel wydziałów biologii i nauk o Ziemi. Z przyjemnością odwiedziłem Irkuck po raz wtóry²¹. Tym razem mieszkaliśmy w dobrym hotelu, odwiedziliśmy instytuty syberyjskiego Oddziału RAN, napracowaliśmy się. Trochę kontaktów udało się skutecznie nawiązać, zwłaszcza w dziedzinie limnologii. Odwiedziliśmy polski konsul, bez większej przyjemności, bo gdzieś schowany w bloku mieszkalnym, z trudnym wejściem i bez należytej reprezentacji.

Nasi gospodarze zorganizowali nam dwudniową wyprawę nad Bajkał, ze zwiedzaniem muzeum. Tym razem przy przystani stał nowo wybudowany, niewielki, ale elegancki hotel, w którym nas zakwaterowano. Bardzo szczególne miejsce. Pokoje tak małe, że nie ma miejsca na walizkę. Za to przyszczyt wyposażony w głośniki radiowe i rozmaite gadżety, których znaczenia nie poznałem. Gdy wyjeżdżaliśmy, widziałem młodą panią z obsługi, która z obłędem w oczach biegła po piętrach sprawdzając zwalniane pokoje, czy czegoś nie skradziono. Naprawdę. W recepcji trzeba było poczekać na wynik testu i dopiero potem można było wymeldować się.

Ciekawym elementem wizyty nad Bajkałem była przejażdżka statkiem Akademii Nauk. Obejrzelśmy spory kawałek jeziora, co wszakże jest niczym w zestawieniu z jego rozmiarami. Zaimponował mi profesor Marcinowski, członek naszej delegacji, który wykapał się w Bajkale. Wprawdzie tylko przy brzegu, ale nawet tam woda jest bardzo, bardzo zimna.

²¹ Wcześniej byłem tam prywatnie.

„Inne” funkcje pełnione przejściowo

W roku 2006 odbyły się wybory władz PAN na kolejną czteroletnią kadencję. Byłem w składzie prof. Legockiego, ale on nie wygrał. Otrzymał nieco ponad 50% głosów, ale wtedy to nie wystarczało, trzeba było mieć 2/3 pozytywnych głosów. Były nowe kandydatury i znowu byłem w składzie jako kandydat na wiceprezesa, tym razem u prof. Andrzeja Kajetana Wróblewskiego. Jego kontrkandydatem był Michał Kleiber i to on został nowym prezesem. Prof. Legocki „przepadł”, bo w ciągu swojego urzędowania podjął kilka niepopularnych, dla członków PAN, decyzji i ja miałem w tym swój udział. Więc przyczyniłem się do tej porażki. Ale nie mogę tego żałować. Decyzja, by na funkcje wykonawcze w PAN nie mogli kandydować członkowie-seniorzy, jest moim zdaniem słuszna. Dotyczy to w szczególności funkcji prezesa, który według obecnie obowiązującego prawa ma pełnić władzy wykonawczej w PAN. Dawniej tak nie było, prezes to była funkcja honorowa, więc zasady były inne. Władze wykonawczą pełnił sekretarz naukowy PAN powoływany przez rząd partyjno-państwowy. W okresie przejściowym jeden z wiceprezesów (z wyboru) był równocześnie sekretarzem naukowym. Ale teraz tego już nie ma, a PAN musi być sprawnie zarządzana. Granica wieku 70 lat – to nie jest przesadne ograniczenie. Zresztą obowiązuje w instytucjach... I jeszcze parę decyzji w tym stylu, więc „naraziliśmy się” członkom PAN.

Gdy myślę o roli, jaką wypełniłem jako wiceprezes PAN, odpowiadający za jej pion badawczy, to dochodzę do wniosku, że wiele więcej nie można było zrobić w tej sprawie. Może kolejna kadencja? Ale to nie udało się. Zaś szereg innych spraw pozostało, właściwie, niezakończonych. W szczególności kwestia komitetów PAN-owskich. Tym zajmował się śp. prof. Jan Strelau i miał bardzo ambitne zamiary zlikwidowania połowy (?) z nich. Słusznie, bo sporo komitetów pełni rolę małych towarzystw naukowych, nie mających istotnych funkcji. W naukach ścisłych ten problem nie istnieje, profesorowie Kołodziejczak i Jurczak zrobili swego czasu z tym porządek. Ale są wydziały PAN, gdzie komitetów jest mnóstwo i nie wiadomo po co. Ale władze tych komitetów trzymają się mocno i biedny prof. Strelau nie mógł odnieść zamierzonego sukcesu. W końcu na jednym z finałnych posiedzeń PAN ogłosił, że liczba komitetów wzrosła... To ironia losu. W przedwojennej wersji PAN komitety miały być ciałami wykonawczymi, pełniącymi ważną, czynną rolę. Nigdy tego nie zrobiono. Rozumiem, że za władzy totalitarnej, ale potem? Rozczarowanie pełne i niebezpieczne dla przyszłości PAN. No i przypominam władztwo PAN wobec placówek naukowych – sprawa już wspomniana, a nader istotna dla przyszłej organizacji nauki w kraju. Nawet tak niegdyś cenione w środowisku naukowym nagrody naukowe Akademii znikły! To wszystko bardzo źle pachnie, Szanowni Państwo.

W ciągu niemal 70 lat istnienia Polskiej Akademii Nauk kilkakrotnie zmieniano jej podstawy prawne, czyli ustawę o PAN. Nigdy nie brałem aktywnego udziału w tworzeniu nowego prawa, reagowałem wyrażając swoją opinię, podobnie jak inni członkowie/pracownicy Akademii. Gdy po latach analizowałem kolejne zmiany to doszedłem do zupełnie zaskakującego wniosku, że najlepszą ustawą o PAN była ta pierwsza, bierutowska! Naprawdę! Obawiam się, że życzliwi koledzy przypną

GARŚĆ WSPOMNIENI Z MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W SFERZE NAUKI

mi z tego powodu łątkę „komucha”²², czy coś w tym stylu, ale proszę, by sami się temu najpierw przyjrzeni. Łajdactwa w tamtych czasach nie brakowało, ale ustawa o PAN była w porządku. Instytut Historii PAN, na przykład, miał w swoich zadaniach m.in. propagowanie wielkości Związku Radzieckiego, ale PAN w ustawie nie miała takich „rodzynek”. Kolejne zmiany nie były, niestety, ulepszeniami, dzisiaj to jest aż nadto widoczne. W sumie po latach widzimy, że szereg istotnych funkcji PAN zostało przejętych w całości lub w części przez urzędy państwowe. PAN nie jest już, na przykład, główną instytucją reprezentującą naukę polską wobec instytucji zagranicznych. I tak dalej...

W nowych wyborach prof. Wróblewski miał świetne wystąpienie wyborcze, dużo lepsze niż prof. Kleiber, ale minimalnie przegrał. Nie wiem czemu, chyba tu „zagrały” elementy polityczne, bo Kleiber był w przyjacielskich kontaktach z prezydentem Kaczyńskim. Ale mogę nie mieć racji, to bardzo trudno ocenić.

Po zakończeniu kadencji wiceprezesa byłem jeszcze przewodniczącym Rady Kuratorów Wydziału III PAN, było to zajęcie niełatwe i silnie absorbujące. To jest dość nowy element organizacji PAN, wynikły z dyskusji o wzajemnych relacjach członkowie PAN-instytuty. Przeciwnicy Akademii od dawna z uporem twierdzili, że współdziałanie takie jest fikcją, bo członkowie to staruszkowie i nie biorą aktywnego udziału w kierowaniu pionem badawczym PAN, czyli instytutami. Były liczne propozycje, by instytuty oddzielić od Akademii w ten, czy inny sposób, np. włączając je w struktury wyższych uczelni²³. W końcu postanowiono, że nad instytutami pieczę pełnić będą zespoły złożone z tych członków PAN, którzy nie przekroczyli 70 roku życia, zespoły zwane *radami kuratorów* w każdym z wydziałów. Wybrano mnie przewodniczącym takiej rady w Wydziale III. Opiniowaliśmy, wraz z wiceprzewodniczącym, profesorem Pawłem Rowińskim, wnioski o dofinansowanie działalności statutowej placówek Wydziału, dokonywaliśmy okresowych ocen ich działalności i zajmowaliśmy się oceną komitetów naukowych Wydziału. Decyzje były podejmowane na plenarnych posiedzeniach Rady, na które wtedy zapraszaliśmy także pozostałych członków Wydziału, jeśli byli zainteresowani (z głosem doradczym). Ważna funkcja, znowu obciążona ograniczeniem wspomnianym wyżej, gdy pisałem o dążeniach reformatorskich w PAN. Kontynuowana działalność, niełatwa i niewdzięczna, pozdrawiam następców. Rady Kuratorów miały zapewnić wypełnianie przez korporację członków PAN funkcji kontrolnych i opiekuńczych nad placówkami i komitetami Akademii. Początki były obiecujące, moim zdaniem, ale wymagały dalszego wzmocnienia tej roli, co nie nastąpiło.

²² Dla wszelkiej pewności napiszę, że nigdy nie należałem do jakiegokolwiek partii politycznej, nawet do związku zawodowego. Uważano (za tzw. komuny), że to konieczność, ale nieprawda, nie musiałem i nie byłem z tego powodu sekowany.

²³ Kompletnie nonsensowny pomysł. Uczelnie, jak pisałem wcześniej, wcale tego nie chciały. Albo chciały tak, jak w przypadku jednej z placówek PAN na Śląsku. Gdy już była zgoda PAN na przeniesienie naszej placówki do Uniwersytetu, to JM Rektor w chwili „słabości” zwierzył się: „nie ma problemu, ludzi się zwolni, siedziby sprzeda, czemu nie mielibyśmy tego przyjąć? Na szczęście dowiedzieliśmy się o tym w porę, wspólnie z kolegą z Wydziału III zdążyliśmy zapobiec tej „aferze”. Wprawdzie w ostatnim momencie, lecz jednak...

Uważam to za poważny błąd, za który pewnie przyjdzie Akademii zapłacić. Bo głosów przeciwnych utrzymaniu w PAN instytutów badawczych nie brakuje, Trzeba to brać pod uwagę w organizacji działania naszej Akademii. Albo ktoś z zewnątrz przejmie inicjatywę.

Więc kolejne rozczarowanie...

Powiniem wspomnieć o funkcjach „pochodnych” wiceprezesa, czyli takich, które nie były bezpośrednio związane z tym stanowiskiem.

Z Akademią Nauk wiązały się moje akcje w organizacjach międzynarodowych. Naturalne było reprezentowanie polskiej chemii na łonie Międzynarodowej Unii Chemii Czystej i Stosowanej (IUPAC), gdy byłem przewodniczącym Komitetu Chemii PAN, czyli w kadencjach 2007–2010 oraz 2011–2014. Wiązało się to z obowiązkiem uczestniczenia w Zjazdach IUPAC co trzy lata, w charakterze przewodniczącego naszej delegacji. Polska jest ważnym członkiem IUPAC, ma trzy głosy (najwięcej mają Stany Zjednoczone, aż 6).

Innym obowiązkiem było reprezentowanie PAN w ICSU, czyli w Międzynarodowej Radzie Nauki²⁴. Jest to niezwykle ważna międzynarodowa Rada zrzeszająca ponad 120 krajowych, wiodących organizacji naukowych oraz najważniejsze międzynarodowe instytucje²⁵. Uczestnictwo w ICSU jest kosztowne, oprócz wspomnianych instytucji należeć mogą, po uzyskaniu pozytywnej opinii wszystkich członków w tajnym głosowaniu, także inne stowarzyszenia odpowiednio wysokiej rangi. Nasz udział w ICSU to bardzo specyficzna kwestia, trzeba jej poświęcić trochę uwagi. Przede wszystkim wspomnę, że zostałem mile powitany przez prezydenta ICSU, gdy mu przedstawiłem się w Maputo, na posiedzeniu plenarnym ICSU, jako nowy przedstawiciel PAN. Ucieszył się i wyraził nadzieję, że będziemy aktywni, co wyraźnie sugerowało brak aktywności w okresie wcześniejszym.

²⁴ Skrót pochodzi od pierwotnej nazwy International Council of Scientific Unions, z czasów, gdy był to związek wyłącznie *scientific unions*. Potem do tego doszły organizacje takie jak nasza Akademia Nauk, zmieniono nazwę na International Council of Science, ale skrót pozostawiono w oryginalnej treści, by podtrzymać rozpoznawalność organizacji.

²⁵ Międzynarodowe Stowarzyszenie Socjologiczne (ISA); Międzynarodowa Unia Astronomiczna (IAU); Międzynarodowa Unia Badań Czwartorzędu (INQUA); Międzynarodowa Unia Biochemii i Biologii Molekularnej (IUBMB); Międzynarodowa Unia Chemii Czystej i Stosowanej (IUPAC); Międzynarodowa Unia Farmakologiczna (IUPHAR); Międzynarodowa Unia Fizyki Czystej i Stosowanej (IUPAP); Międzynarodowa Unia Geodezji i Geofizyki (IUGG); Międzynarodowa Unia Geograficzna (IGU); Międzynarodowa Unia Historii i Filozofii Nauki (IUPS); Międzynarodowa Unia Krystalografii (IUCr); Międzynarodowa Unia Leśnych Organizacji Badawczych (IUFRO); Międzynarodowa Unia Matematyczna (IMU); Międzynarodowa Unia Nauk Antropologicznych i Etnologicznych (IUAES); Międzynarodowa Unia Nauk Biologicznych (IUBS); Międzynarodowa Unia Nauk Geologicznych (IUGS); Międzynarodowa Unia Nauk Psychologicznych (IUPsyS); Międzynarodowa Unia Nauk Radiowych (URSI); Międzynarodowa Unia Towarzystw Gleboznawczych (IUSS); Międzynarodowa Unia Towarzystw Immunologicznych (IUIS); Międzynarodowa Unia Towarzystw Żywnościowych (IUNS).

GARŚĆ WSPOMNIENÍ Z MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W SFERZE NAUKI

Próbowałem tego, ale znowu rozczarowałem się. Bo, po pierwsze, potrzebne były pieniądze, a z tym w naszej nauce zawsze były kłopoty. A gdy były szanse na utworzenie w Polsce europejskiego ośrodka ICSU (rodzaju kancelarii dla tego ośrodka), to w kraju niczego nie wskórałem w tej kwestii. Ale były też inne problemy. Idzie o to, że rozmaite ośrodki i organizacje w kraju od lat uczestniczyły, na różnych poziomach, w niektórych programach ICSU. A nie chciały, by im się w to wtrącać. Ja nie miałem żadnych takich intencji, ale i tak obawiano się zmian. Najlepszym (to nie to słowo...) przykładem była kwestia przystąpienia do programu Future Earth. Programu, który w pewnym momencie przerósł samo ICSU, zdobywając ogromne fundusze na swoje projekty. Żeby zostać liczącym się partnerem należało w kraju uruchomić narodowy projekt pod tą nazwą, z odpowiednią organizacją i funduszami (tak jak to zrobiono w kilku krajach). Nie byłem już wiceprezesem PAN, miałem mniejsze możliwości wpływania na decyzje. Wspólnie ze swoimi ówczesnymi zastępcami, profesorami Leszkiem Marksem i Franciszkiem Krokiem, ponieśliśmy, niestety, porażkę; nie udało się takiej narodowej platformy nawet porządnie rozpocząć. Pomimo usilnych starań. Formalnie to jakoś wyglądało. Udało mi się wskórać, by prof. Krok został członkiem *management committee* Europejskiego Komitetu ICSU, brał on pilnie udział w kilku posiedzeniach w Londynie i w Paryżu. Profesor Marks zgodził się być przewodniczącym polskiego programu Future Earth, ale to nie wyszło, niestety, poza stadium formalne, ze strony PAN nie uzyskaliśmy istotnego poparcia. Sformowaliśmy polski Komitet ds. współpracy z ICSU, składający się z przewodniczących komitetów PAN-owskich, które pełniły funkcje narodowych reprezentacji w poszczególnych organizacjach międzynarodowych, będących członkami ICSU (w tym ja, jako ówczesny przewodniczący Komitetu Chemii PAN, będącego narodowym przedstawicielem Polski w IUPAC i przewodniczący całego Komitetu). Ta forma działa do dziś, w randze komitetu Prezydium PAN. Istnieje też instytucjonalnie komitet ds. współpracy z Future Earth, lecz o efektach jakoś słabo słyhać. Odnoszę wrażenie, że partykularne projekty dyscyplinowe są tutaj traktowane jako współpraca o charakterze ogólniejszym, co absolutnie nie wystarcza²⁶. Mogę powiedzieć, że wypełniałem tę reprezentacyjną funkcję z przekonaniem i ciągłą nadzieją, że coś się da zrobić, ale... W końcu ta rola wyczerpała się²⁷. Powinienem jednak wspomnieć o kilku zebraniach Europejskiej Rady ICSU, w których uczestniczyłem. Sprawa była raczej skomplikowana, bo centrala ICSU nie była zachwycona inicjatywą utworzenia Europejskiej Sekcji. Inne kontynenty to miały i przygotowywały się do zebrań ogólnych w swoich gronach. Europa nie, więc ktoś wpadł na pomysł, by jednak takie ciało utworzyć. Doszło do tego przy raczej biernej postawie centrali ICSU. Sekretariat przez parę

²⁶ To jest ciekawe zagadnienie, samo w sobie. Wielu (naprawdę!) uczonych o świetnej renomie naukowej wyraża się z powątpiewaniem o zagrożeniach klimatycznych i w szczególności o roli człowieka w tym względzie. Więc niełatwo o zgodne współdziałanie.

²⁷ W jakiś dziwny sposób. Dostawałem z Kancelarii PAN wezwania, by w jakiejś imprezie wziąć udział, po czym nie było dalszej odpowiedzi na moje zapytania. Czyli pomyłki... i koszmarny bałagan.

lat prowadzili Finowie. Byłem m.in. w Helsinkach na zebraniu Sekcji, bardzo elegancko podjętej przez rząd fiński. Potem udało mi się zaprosić ten skład na posiedzenie w Warszawie, ale właściwie na tym chyba się skończyło. Natomiast w posiedzeniach plenarnych ICSU uczestniczyłem aż do 2014 roku, do zebrania w Auckland (Nowa Zelandia), gdzie m.in. poparłem kandydaturę Polki (pracującej stale we Francji) do Biura ICSU. Nie traktuję tego jakoś wyjątkowo, uczestnictwo w całym posiedzeniu było wartościowe i ciekawe.

Raczej wyjątkowym wydarzeniem było reprezentowanie PAN w Mińsku na Białorusi, na sesji poświęconej głównie zagadnieniom etycznym w nauce. Profesor Andrzej Górski, jako wiceprezes PAN odpowiadający wówczas w Akademii za te zagadnienia, nie mógł pojechać i poprosił mnie o zastępstwo, wyposażając w przygotowaną przez siebie prezentację. Nigdy przedtem w Mińsku nie byłem, chętnie obejrzałem to miasto i wziąłem udział w sesji świetnie zorganizowanej i na wysokim akademijnym poziomie oraz docenionym przez władze Białorusi m.in. poprzez zaproszenie delegacji do wicepremiera. Sesje interesujące, z reprezentacjami kilku akademii nauk, Zapewniono nam autokarową wycieczkę po Mińsku, z dobrym przewodnikiem, od którego dowiedzieliśmy się, że Stanisław Moniuszko i Adam Mickiewicz to rodowici Białorusini... Zorganizowano nam również wycieczkę do skansenu – wsi białoruskiej, z ekspozycjami warsztatów wiejskich i przejażdżką bryczkami (prawie takie same, jak ta, którą jeździłem u dziadka w Tucholi).

Wspomnę też program „Ambasadorowie Kongresów i Konferencji w Polsce”. Zaczęło się w roku 2003, gdy do PAN zwróciła się Polska Organizacja Turystyczna, instytucja państwowa, z propozycją utworzenia takiego programu. Osobami, które przyszły w tej sprawie do PAN były pani Katarzyna Sobierajska oraz pan Zbigniew Kowal. Prezes Legocki skierował ich do mnie. Spodobał mi się ten pomysł, mający na celu sprowadzanie do Polski imprez naukowych. Dla nauki korzyści są oczywiste, dla gospodarki także, bo każdy gość zostawia tu jakieś pieniądze. Istnieje nawet termin „turystyka biznesowa”. Więc program został stworzony, mnie powierzono obowiązki przewodniczącego komisji-jury konkursu, mającego na celu nominowanie osób zasłużonych do tytułu „Ambasadora” Kongresów. Pełniłem tę funkcję przez szereg lat, potem przejął ją profesor Pawełczyk ze Śląska. Jak wiele pomysłów, tak i ten został przez „życie” zdeprawowany. Bo inicjatywa zakładała, że Polska Organizacja Turystyczna będzie aktywnie wspierała uczonych starających się o sprowadzenie konferencji (kongresów) poprzez wyposażanie ich w materiały informacyjne o Polsce, jej atrakcjach turystycznych i bazie hotelowo-konferencyjnej, materiały dostosowane do aktualnych potrzeb oraz wspomagać wyjazdy zagraniczne mające takie cele wypełniać, dofinansować, a czasami delegować ekspertów własnych, do referowania tej „turystycznej” części na forach zagranicznych. Takie sytuacje widuje się przecież na konferencjach, ta „biznesowa turystyka” to nie jest nasz wyłączny pomysł... To, w zasadzie, nie rozwinęło się, chociaż próby pojawiły się na początku akcji. Ale POT podlega, jak szybko przekonałem się, wpływowi politycznym. W tym sensie, że każda zmiana ekipy rządzącej wiązała się ze zmianami w obsadzie stanowisk w POT. To łamie długofalową strategię działania. Tak też było w tym przypadku. Praktycznie została tylko akcja

GARŚĆ WSPOMNIENÍ Z MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W SFERZE NAUKI

honorowania osób zasłużonych tytułami „ambasadora”. To dzieje się, organizowane są coroczne imprezy (Gala Ambasadorów, pewnie prowadzona przez panią Anetę Książek) ze sporym rozmachem, aktywnym udziałem lokalnych ośrodków i tak dalej. Miłe, ale to miała być dekoracja szerszej akcji, a nie jej sedno.

Więc kolejne rozczarowanie...

Drugą sprawą dodatkową był program „Honorowe Perły Gospodarki”, fragment akcji prowadzonej przez redakcję czasopisma „Polish Market” wspólnie z Akademią Nauk, a konkretnie z Instytutem Nauk Ekonomicznych PAN. Główna część to „zwykłe” Perły Gospodarki przyznawane za osiągnięcia w sferze ekonomii, a powstał pomysł, by to wzbogacić o Perły Honorowe przyznawane za osiągnięcia w dziedzinach nauki, kultury, wartości patriotycznych i innych, które wspierają w jakikolwiek sposób polską gospodarkę i jej znaczenie w świecie. Motorem tej akcji, jak i całego programu, była i jest redaktor „Polish Market”, pani Krystyna Woźniak-Trzosek. Mnie powierzono obowiązki przewodniczącego jury konkursu Pereł Honorowych. Miałem znakomitych „udziałowców” komisji, pana Jerzego Buzka, Adama Szejnfelda, Piotra Nurowskiego, Andrzeja Wiszniewskiego, Janusza Steinhoffa, żeby wymienić kilka osób. Nie wszyscy zawsze byli na posiedzeniach zespołu, ale można było liczyć na ich wyraźne zdanie w omawianych sprawach. Wybraliśmy, w ciągu lat funkcjonowania programu, liczne grono znakomitości do tego tytułu. Perły Honorowe były bardzo cenione, a uroczysta oprawa ich nadawania (Zamek Królewski, Sala Balowa lub Teatr Wielki) wydatnie dodawały splendoru. Takie imprezy nie są wolne od aktualnych wpływów politycznych, ale nie doszło nigdy do zachwiania właściwych proporcji.

Powrót do IChF i UKSW

W 2007 roku, od stycznia, wróciłem do Instytutu, ale już nie chciałem kandydować na stanowisko dyrektora mimo, że niektórzy koledzy mnie do tego usilnie namawiali. Uznałem, że w funkcjach organizacyjnych dość namęczyłem się i czas na powrót do pracy naukowej. Miałem angaż do 70-tki, czyli do grudnia 2013 roku. Potem jeszcze przez rok kończyłem prace nad projektem cyklodekstrynowym, ale już nie będąc etatowym pracownikiem Instytutu. Niektórzy z kolegów uznawali to za dyskryminację, ale nie ja. Doskonale wiedziałem, co należałoby zrobić, by dostać propozycję dalszego zatrudnienia, ale świadomie tego nie zrobiłem. Byłem już pełnoprawnym profesorem w UKSW, z małą „posadką” (1/5 etatu) w IChTJ i nie miałem zupełnie ochoty wdawać się we współpracę z ówczesną dyrekcją Instytutu. Tym bardziej, że UKSW podjął stanowcze starania o utworzenie Centrum Badań Laboratoryjnych i to udawało się znakomicie. Mamy tam nowoczesne laboratorium badań strukturalnych, prace rozwijają się bardzo dobrze. Uczę krystalografii, ale także fizykochemii materiałów, chemii związków kompleksowych i nawet radiochemii²⁸.

²⁸ To jest pewien kłopot, bo radiochemia nigdy nie należała do moich specjalności. Ale nie było komu to dać, a ja dostałem od prof. Aleksandra Bilewicza z IChTJ komplet

Laboratorium rentgenowskie dzielimy z Kingą Suwińską. Na całe szczęście, bo sam nie dałbym rady go wykorzystać. Żadnych problemów, każde z nas pracuje jednoosobowo, nie mamy zespołów, poza dyplomantami z UKSW. Opieramy się, każde z nas odrębnie, o międzynarodową współpracę. Materiały do badań, oprócz prac dyplomanckich, otrzymujemy od współpracowników w ramach uzgadnianych programów badań wspólnych. Mamy pełnoprawny dostęp do laboratorium chemicznego, gdzie wykonujemy, w miarę potrzeb, prace preparatywne. Wydział rozwija się i buduje sieć współpracy, wewnątrz UKSW oraz z instytucjami zewnętrznymi. Dobry stan aktualny i ciekawe perspektywy.

W roku 2016 ówczesna kierowniczką naszego dziekanatu rozesłała nam pismo zachęcające do zgłaszania się na ekspertów Europejskiej Fundacji Nauki (ESF). Zrobiłem to i zostałem takim ekspertem. Wkrótce potem dostałem delegację do uczestnictwa w pracach międzynarodowego zespołu ekspertów Czeskiego Systemu Grantowego. Uczestniczę w tym od roku 2018. Polega to na recenzowaniu wniosków, następnie na obradach *on-line*, kolejnym stadium recenzyjnym oraz końcowym stadium opiniodawczym. Dwukrotnie (2018, 2019) odbyło się to w Pradze, w siedzibie Agencji Grantowej, w roku 2020 z uwagi na pandemię, sesja finalna odbyła się w systemie *on-line*. Interesujący system, świetne granty pięcioletnie z doskonałym finansowaniem, bardzo konkurencyjny.

W ciągu wielu lat pracy w nauce wykonałem bardzo wiele recenzji, na najróżniejszych szczeblach i poziomach. Nie mam zamiaru tego tutaj poddawać analizie, ale parę uwag może Szanownego Czytelnika zainteresować. Przede wszystkim zagadnienie podstawowe, a więc rzetelność recenzji. Nie mam na myśli podstawowej uczciwości, to sprawa oczywista. Idzie o pewne chwytliwy stosowane przez recenzentów, które tę rzetelność naruszają, zachowując wszelkie pozory. Idzie o to, że wobec rozpowszechnienia procedur recenzyjnych, ich autorzy wykazują silną tendencję do opierania wniosków o kryteria formalne, w szczególności o parametry bibliometryczne. Pół biedy, jeśli się stosuje tylko czynniki wpływu (*impact factor*), ale niektórzy analizują kolejność współautorów oraz to, kto jest *author for correspondence*. Jeśli tak dalej pójdzie, to zamiast recenzji posłuży komputer z dostępem do baz danych bibliometrycznych. Nie ma łatwego wyjścia z tego kłopotu!

Prezesura Towarzystwa Naukowego Warszawskiego

I zostałem prezesem TNW. Dlatego, że profesor Andrzej Kajetan Wróblewski nie chciał zgodzić się... A to była najlepsza kandydatura. Namawiałem go usilnie, ale bez powodzenia i wtedy on zaproponował, bym to ja kandydował na to stanowisko. O tym piszę poniżej. I tu zaczyna się okres największych rozczarowań.

Powinienem chyba zacząć od stwierdzenia, że w PAN kontaktami z TNW zupełnie nie zajmowałem się, miał to w swoim zakresie obowiązków inny wiceprezes

prezentacji do nauczania tego przedmiotu. I tak się stało, chociaż nie ukrywam, że chętnie bym ten przedmiot oddał.

GARŚĆ WSPOMNIENÍ Z MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W SFERZE NAUKI

i jako rzadko się z nami dzielił problemami z tym związanymi. Ale byłem już od dawna aktywnym członkiem TNW, między innymi wybierano mnie na przewodniczącego Wydziału III (matematyka, fizyka, chemia, astronomia). Znałem więc obie instytucje i raczej mało wiedziałem o ich wzajemnych relacjach.

Prezesem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego zostałem wkrótce po zakończeniu działalności na stanowisku wiceprezesa Polskiej Akademii Nauk. Wydawało się zatem, że ustanowienie wzajemnych relacji PAN – TNW powinno być szybkie i nieskomplikowane. Z oczywistą korzyścią dla obu stron. Dla TNW, bo od lat boryka się z licznymi kłopotami, o czym napiszę niżej, a dla PAN jest to szansa na uzdrowienie metryki, inaczej mówiąc na nadanie jej nowej interpretacji podłoża genetycznego z lat 50. Nie ulega wątpliwości, że PAN wiele zawdzięcza Towarzystwu, a szczególnie jego komisji prowadzonej przed wojną przez wiceprezesa (wtedy w randze sekretarza wydziału) Kazimierza Kuratowskiego, która starała się usilnie o nadanie PAN statusu odpowiadającego przedwojennym projektom opracowanym przez TNW, nie zaś wzorcom radzieckim. W końcowym rezultacie ustawa o PAN nie była oparta o koncepcje TNW, ale wiele kwestii szczegółowych uwzględniało jego wcześniejsze postulaty. Zainteresowanych odsyłam do historycznych opracowań na ten temat, w szczególności do monografii Piotra Hübnera pt. *Siła przeciw rozumowi*. Osobiście uważam, że odwołanie się przez PAN do historycznych korzeni w TNW mogłoby bardzo korzystnie wpłynąć na jej społeczny odbiór, przy oczywistym uwzględnieniu politycznych uwarunkowań po II wojnie światowej. Zdumiało mnie, że ta argumentacja okazała się całkowicie nieskuteczna. PAN pozostaje więc przy swoim oficjalnym, komunistycznym rodowodzie. Zdumiewające, prawda? A racjonalnych przesłanek za alternatywnym ujęciem tej kwestii, takim, jakie proponowaliśmy, naprawdę nie brakuje. Towarzystwo Naukowe Warszawskie w okresie międzywojennym opracowało koncepcję utworzenia akademii nauk i poddało to pod obrady Rady Porozumiewawczej Towarzystw Naukowych, któremu przewodziła krakowska Polska Akademia Umiejętności. Wprawdzie wtedy do uchwalenia wniosku nie doszło, ale znaczną część uzasadnień i koncepcji organizacyjnych wykorzystano podczas dyskusji na temat utworzenia PAN po wojnie. Rezultat jest taki, że nie jest to organizacja dokładnie wzorowana na radzieckich akademiach, wiele istotnych różnic zawdzięczamy profesorowi Kuratowskiemu i jego zespołowi. To wiemy w TNW, PAN od tego odwraca się.

Zaskoczeniem dla mnie w roli prezesa TNW było traktowanie nas przez PAN jako sublokatora w Pałacu Staszica. Gdy o tym wspomniałem w notatce zamieszczonej w PAUZie (internetowy periodyk PAU), to dostałem list, notatkę na ten temat zamieszczam poniżej:

„Notatka z rozmowy z prof. M. Kleiberem, prezesem PAN, w dniu 14 grudnia 2012 r.

Do rozmowy doszło w wyniku reakcji Prezesa PAN na moją notatkę o Towarzystwie Naukowym Warszawskim zamieszczoną w PAUZie Akademickiej. Przy spotkaniu w dniu 4 grudnia, z okazji wręczenia nagród naukowych Wydziału III PAN, pan Prezes wyraził swoją krytyczną opinię o treści tej notatki i wspomniał,

że docierają do niego liczne interpelacje przez tę notatkę sprowokowane. Zapowiedział skierowanie do mnie listu w tej sprawie. Ze swej strony zaproponowałem rozmowę, do której doszło 14 grudnia (przedtem okres był bardzo zajęty przygotowaniami do Zgromadzenia Ogólnego PAN, które miało miejsce 13 grudnia). Przed rozmową dotarło do mnie pismo Prezesa (datowane 5 grudnia), które załączam.

W rozmowie dowiedziałem się, że moja notatka w PAUzie została zrozumiana przez Pana Prezesa jako zapowiedź starań rewidykacyjnych TNW wobec Pałacu Staszica. Oświadczyłem, że takich planów TNW nie ma. Pan Prezes zwrócił uwagę, że mój tekst wyrządza szkodę PAN zawartymi w niej sformułowaniami, np. że TNW jest sublokatorom PAN w Pałacu Staszica. Ponadto, ogólny ton notatki sprawia niekorzystne wrażenie o PAN.

Wyraziłem przekonanie, że PAN jest kontynuatką naukowych tradycji poprzednich, społecznych organizacji naukowych, w tym zwłaszcza TNW, które aktywnie uczestniczyło w pracach nad tekstem ustawy o PAN z 1952 roku i walenie przyczyniło się do uniknięcia organizacji PAN na wzór radziecki. Pracami zespołu TNW kierował wiceprezes, Kazimierz Kuratowski. Sugerowałem, że represje wobec TNW i PAU nie powstały z inicjatywy PAN, lecz utworzenie PAN władze partyjno-państwowe wykorzystały jako okazję do walki z niezależnymi od państwa organizacjami społecznymi w nauce (tzw. akcja „N”). Uważam, że PAN powinna silniej odwoływać się do pozytywistycznych tradycji TNW i PAU i wspierać ich działalność. Odniosłem wrażenie, że prezes Kleiber odniósł się do tych stwierdzeń ze zrozumieniem, przywołał m.in. teksty swoich wystąpień na temat korzeni PAN. Przypomniałem też p. Prezesowi inicjatywy kierowane pod adresem PAN podczas mojej prezesury TNW, z których najdalej idącą była propozycja powierzenia przez PAN TNW funkcji spełnianych przez terenowe oddziały PAN – bez formalnych przekształceń organizacyjnych, tj. bez formalnego tworzenia warszawskiego oddziału PAN czy transformowania TNW w coś takiego. Przypomniałem, że wszystkie propozycje TNW kierowane pod adresem PAN miały charakter konstruktywny i zmierzały do pogłębienia współpracy, ale nie spotykały się z konkretną reakcją PAN.

Prezes przypominał, że TNW wykorzystuje pomieszczenia w Pałacu Staszica nie ponosząc kosztów z tym związanych. Naraża to PAN na trudne do przewidzenia konsekwencje, gdyż NIK już zwracała uwagę, uznając to za nieprawidłowość gospodarowania mieniem. W tej kwestii ponowiłem swoją propozycję, by PAN wykorzystwała współpracę z TNW w sposób i w stopniu usprawiedliwiającym ponoszenie kosztów korzystania z ww. pomieszczeń. Ta sugestia nie została odrzucona, ale nie doszło do pogłębionej dyskusji na ten temat.

W rozmowie poruszyłem też ogólny problem stosunku władz państwowych do towarzystw naukowych, w kontekście głoszonych haseł o „społeczeństwie obywatelskim”. Sytuacja jest daleka od głoszonych deklaracji i wymaga zmian. Pan Prezes zgodził się z tym stanowiskiem i zadeklarował pomoc w doprowadzeniu do zorganizowania kongresu towarzystw naukowych, co powinno przyczynić się do zmiany sytuacji na lepsze.

Co do negatywnego obrazu PAN, jaki jest, zdaniem prezesa Kleibera, skutkiem mojej notatki w PAUzie Akademickiej, zadeklarowałem gotowość przygotowa-

GARŚĆ WSPOMNIENÍ Z MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W SFERZE NAUKI

nia notatki wyjaśniającej powstałe wątpliwości. Pan Prezes przyjął tę deklarację z zastrzeżeniem, że należałoby unikać wrażenia, że to uzupełnienie jest skutkiem interwencji z jego strony.

Ustalenia zatem były trzy:

1. Pogłębienie współpracy PAN-TNW w stopniu uzasadniającym ponoszenie przez PAN kosztów użytkowania przez TNW pomieszczeń w Pałacu Staszica (propozycja z mojej strony, bez deklaracji ze strony Prezesa PAN);
2. Poparcie p. Prezesa dla Kongresu Towarzystw (już wcześniej zresztą deklarowane organizatorom Kongresu) i
3. Nowa notatka w sprawie relacji TNW-PAN do przygotowania i opublikowania w bliskiej przyszłości”.

Ta notka wyjaśnia moje wcześniejsze stanowisko i nie wymaga, jak sądzę, komentarzy. Oryginalne teksty pism, o których mowa, dostępne są w sekretariacie TNW.

W wyniku dalszych uzgodnień doszło w końcu do zawarcia umowy PAN – TNW. Nie był to zasadniczy przełom, ale już nie powracano do kwestii opłacania przez TNW kosztów wynajmu pomieszczeń.

Kongres Towarzystw Naukowych zorganizowano na terenach SGGW pod Warszawą, ale znowu odczuliśmy, że jesteśmy w jakimś sensie kłopotem dla PAN. Główny referat miał profesor Andrzej Grzywacz, wtedy sekretarz jednego z wydziałów PAN, i chwalił Akademię za wspieranie towarzystw naukowych... A mój list do Organizatorów nie został upubliczniony i nawet nie znalazł się w materiałach konferencji... To jakiś nonsens i przejaw kompleksu PAN, uwidocznionego w jaskrawy sposób poprzez ufundowanie specjalnej tablicy umieszczonej w holu Pałacu Staszica a upamiętniającej przekazanie Pałacu „nauce polskiej” (tak zapisano). Zdaje się, że ktoś z urzędników PAN-owskich postanowił w ten sposób uwypuklić prawa własności Akademii do Pałacu. Razem z prof. Zasztowtem, sekretarzem generalnym TNW, zostaliśmy zaproszeni na uroczystość odsłonięcia tablicy. Zasztowt potem złożył mi rezygnację z urzędu (której nie przyjąłem), bo tekst wygłoszony przez prezesa Kleibera był niesłychanie tendencyjny. Wymieniał rozmaite wydarzenia z historii Pałacu, włącznie z rosyjskim gimnazjum i cerkwią, ale ani słowa (!) o TNW (!), które prowadziło odbudowę Pałacu na zlecenie władz państwowych. Nieprawdopodobne, ale prawdziwe. A paradoksem całej sytuacji było coś przez PAN-owskich urzędników zupełnie przeoczone, mianowicie data przekazania Pałacu „nauce polskiej”. Bo przypadło to na okres, gdy gospodarzem było TNW, a przejęcie przez Akademię nastąpiło w styczniu następnego roku... Kupa śmiechu, niechęć i niekompetencja. A prezes Kleiber, którego znałem dobrze już wcześniej, uwielbiał polegać na urzędnikach. To jest wygodne, oczywiście, ale jemu w rezultacie wyrabia wizerunek, jakiego pewnie by sobie nie życzył.

Inne inicjatywy, wspomniane w notatce powyżej, nie doczekały się nigdy realizacji, ani nawet prób zaawansowania prac nad nimi. Charakterystyczne dla moich starań były takie sekwencje: najpierw miła i konstruktywna rozmowa w cztery oczy z prezesem kończąca się postanowieniem, że należy doprowadzić do rozmowy w szerszym gronie. Potem rozmowa w szerszym gronie urzędników Kancelarii

PAN pod wodzą prezesa Kleibera, a ze strony TNW ktoś z Zarządu²⁹ i ja. I kompletnie inna atmosfera, a dokładniej mówiąc awantura i wymówki pod adresem Towarzystwa.

Gdy doszło do zmiany na stanowisku prezesa to liczyliśmy na nowe otwarcie. I były duże nadzieje. Chodziliśmy na spotkania w PAN w szerszym gronie, z wiceprezesem i sekretarzem generalnym, zaś nasze oczekiwania rosły. Po czym nie się nie działo. Akcją największego kalibru było wystąpienie do Prezydium PAN o anulowanie dawnej decyzji o wykreślenie TNW z listy towarzystw w Warszawie³⁰. Na wniosek byłego prezesa TNW, prof. Andrzeja Paszewskiego, Zebranie Ogólne TNW wystąpiło z taką prośbą do Prezydium PAN. Uzyskaliśmy dobrowolne poparcie tego wniosku przez Polską Akademię Umiejętności. O ile wiem, prezes Duszyński przedłożył ten wniosek Prezydium PAN, ale sprawa znowu utknęła. Jakież *fatum*, a przecież wydawało się to oczywiste.

W tym miejscu obowiązany jestem wyraźnie stwierdzić, że przez cały czas mojej prezesury TNW nie mieliśmy intencji roszczeniowych wobec PAN. A moglibyśmy ten temat rozwijać, bo przejęcie dóbr TNW przez PAN w 1954 roku odbywało się, w części, z naruszeniem ówczesnego prawa. Ale do tego nie chcieliśmy się dobierać, a główna kwestia, jaką jest własność Pałacu Staszica, była nie do ruszenia z powodów, których tu nie warto szczegółowo opisywać. W sumie więc: brak roszczeń. Moja uwaga w notatce była nawiązaniem do kwestii uprawnienia TNW do korzystania z Pałacu Staszica, co nam chętnie wymawiano, nie zaś próby przejęcia.

Jedyną kwestią własnościową, jaką systematycznie wypominałem kolejnym prezesom PAN i ich współpracownikom był Mądralin. Około 30 km od Warszawy jest taka posiadłość, którą przedwojenny, słynny szewc warszawski, pan Hiszpański, podarował warszawskiemu uczoneму (więc TNW), by mieli gdzie spędzać czas na twórczych zajęciach. Okoliczna ludność nazwała to potem Mądralinem i tak zostało. PAN miała nieraz ochotę sprzedać tę posiadłość, ale mówiłem, że to wywoła nasz kategoriyczny sprzeciw. Wtedy powtarzano jakieś mało precyzyjne wiadomości, że wojskowe sąsiedztwo (?) na obrót Mądralinem nie pozwoli... Byliśmy stanowczy w tej sprawie, ciekawe, do czego to w końcu doprowadzi.

Nawiasem mówiąc prezes Kleiber, jak nas informował przedstawiciel TNW w komisji sejmowej, nie poparł nawet wniosku, by nieruchomości zwalniane przez PAN były, w pierwszej kolejności, zwracane poprzednim właścicielom. W efekcie, według tak ustanowionego prawa, gdyby zlikwidowano PAN, to Pałac Staszica przeszedłby w gestię rządu, bez śladu uprawnień TNW, które jest kontynuatorem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, dla którego Stanisław Staszic wybudował Pałac w początku XIX wieku.

²⁹ Pani prof. Ewa Wolnicz-Pawłowska, prof. Marek Kowalczyk.

³⁰ Z niezrozumiałych powodów Prezydium PAN w roku 1954 wystąpiło do władz m.st. Warszawy o wykreślenie TNW z rejestru towarzystw. Nieprawnie, bo TNW nie było zlikwidowane, wstrzymano jego działalność decyzją rządu PRL. Oczywiście musiało chodzić o dobra materialne TNW, przejęte przez PAN, ale niewykluczone było działanie odwrotne. Więc...

GARŚĆ WSPOMNIENÍ Z MOJEJ DZIAŁALNOŚCI W SFERZE NAUKI

Jak Państwo widzicie, rozczarowanie kompletne. Ludzie szanowani, znani, za przyjaźnieni nawet i kompletna porażka, w dodatku zupełnie bez sensu. Najbardziej cierpi poczucie przyzwoitości.

Wyraźnym sukcesem, tuż przed końcem mojej prezesury, było umieszczenie w holu Pałacu Staszica pięknej, marmurowej tablicy upamiętniającej członków Towarzystwa, którzy nie przeżyli II wojny światowej. Lista prawie 100 osób, bardzo wybitnych ludzi nauki. Staraliśmy się o to bardzo długo, najpierw dostaliśmy odpowiedź z PAN, że możemy sobie tę tablicę powiesić w naszym pokoju, ale wytrzymałoby to i po latach, już za kadencji prezesa Duszyńskiego, dokonaliśmy uroczystego odsłonięcia tablicy we właściwym miejscu.

Próba bilansu

Przejmowałem stery TNW tuż po eleganckiej uroczystości 100-lecia Towarzystwa, pięknie zorganizowanej przez poprzednie władze pod kierunkiem profesora Paszewskiego i wspartej materialnie przez Prezydium m.st. Warszawy. Potem jednak rozpoczęła się seria niepomyślnych zdarzeń. Polska Akademia Nauk zaczęła domagać się od nas wnoszenia opłat za dzierżawę pomieszczeń w Pałacu Staszica. Fundacja na Rzecz Nauki Polskiej, dzięki której utrzymywaliśmy funkcjonowanie naszego sekretariatu prowadząc jeden z programów stypendialnych, zakończyła ten program. Ministerstwo Nauki (podaję skrótowo nazwę) stopniowo ograniczało dotacje, aż do całkowitej likwidacji. Ta sytuacja groziła całkowitym wstrzymaniem działalności TNW. Jeżeli Towarzystwo żyje do dziś i bez zadłużeń, to zawdzięczamy pełnemu poświęceniu naszych aktywnych członków, a w tym szczególnie osobom pełniącym podstawowe funkcje oraz nawiązanej lub rozwijanej współpracy. Udało się zawrzeć porozumienie z PAN i groźba czynszu znikła. Nadzwyczajna współpraca z Kasą Mianowskiego (prof. Zasztowt) umożliwiła podtrzymanie ważnej części działalności wydawniczej TNW. Zorganizowaliśmy kilka międzynarodowych konferencji naukowych. Uzyskaliśmy stąd przychody utrzymujące nasz bilans po dodatniej stronie. Więc przeżyliśmy. Ale to nie zaspokaja aspiracji, prawda? Cóż więc robiliśmy dla rozwoju Towarzystwa? Wymienię kilka kwestii, które uważam za najistotniejsze:

1. Społeczny ruch naukowy jako obywatelskie społeczeństwo w nauce – bardzo aktywnie uczestniczyliśmy we wszelkich akcjach zmierzających do umocnienia pozycji towarzystw naukowych w kraju. W tym zakresie bardzo rozwinęliśmy i umocniliśmy współpracę z Polską Akademią Umiejętności oraz innymi towarzystwami. Każdy z nas, jeśli wyraził na to zgodę, otrzymuje regularnie i bezpłatnie PAUZę Akademicką. Wspólnie z PAU utworzyliśmy krajowe forum towarzystw i solidarnie w tych ramach współpracujemy. Oczekujemy powrotu państwowego dofinansowania działalności towarzystw. Wykonano oszacowania niezbędnych kosztów, Ministerstwo zostało zaznajomione z tymi danymi.
2. Prawo o towarzystwach naukowych jest zagadnieniem, którym zajmujemy się od wielu lat. Świetnie przebiegała współpraca z Płockim Towarzystwem Naukowym, którego prezes, prof. Zbigniew Kruszewski, należy od lat do grona li-

derów w tej kwestii. Sądzę, że jego udział w PAN-owskiej Radzie Towarzystw Naukowych (w randze komitetu przy Prezydium PAN), przyczynił się do poparcia tej akcji przez władze PAN. Osobiście brałem kilkakrotnie udział w spotkaniach z komisjami sejmowymi i wiem, że byliśmy nieraz blisko finalnego sukcesu. I zgromadzone doświadczenia pozwalają sądzić, że się wreszcie uda.

3. Kontakty międzynarodowe to kilka różnych kwestii. Regularne spotkania z towarzystwami działającymi za granicą to element nowy od paru lat i wyniki z naszej współpracy z PAU. Do tego dodam własne inicjatywy TNW w zakresie organizacji międzynarodowych konferencji naukowych. Oryginalnym pomysłem było uruchomienie serii imprez pod nazwą Science Diplomacy. Zorganizowaliśmy dwie takie konferencje w Pałacu Staszica, kolejną przejął Instytut Biologii Doświadczalnej PAN (prof. Jerzy Duszyński prezes PAN, oraz prof. Maciej Nałęcz, współorganizator wcześniejszej konferencji TNW). Wśród zagranicznych wykładowców odnotuję udział prof. Zafry Lerman, światowej rangi autorytetu w tym zakresie. Trzeba wymienić kilka konferencji z zakresu chemii supramolekularnej i krystalografii, dofinansowanej przez Unię Europejską. Wymieniam tylko kilka z tych, które najlepiej pamiętam, ale konferencji organizowanych lub współorganizowanych przez TNW było w minionych latach kilkanaście. Gościliśmy znakomitych wykładowców i uczestników. To niemało, jak na organizację społeczną.
4. Popularyzacja nauki od czasu upaństwowienia nauki uważana jest oficjalnie za podstawowe zadanie towarzystw naukowych. To zadanie wypełniamy uczestnicząc w licznych akcjach, których nie sposób pokrótce wymienić. Może wspomnę Wszechnicę TNW-PAN, z której co prawda PAN się wycofała w 2017 roku, ale są szanse wznowienia tej interesującej serii. Wyjątkowymi wydarzeniami z tej kategorii były zorganizowane przez TNW otwarte wykłady zaproszonych Noblistów: Ady Yonath (Nobel 2016) i Yuan Tse Lee (1985), Ten ostatni zwłaszcza pokazał w swoim wykładzie groźbę zniszczeń powodowanych przez zmiany klimatyczne i działalność człowieka w tym zakresie. Wykład prawdziwie proroczy... Mniej uhonorowani, ale nadzwyczaj interesujący byli także inni zaproszeni do nas wykładowcy, że wymienię Omara Yaghi czy Jerry L. Atwooda. I to wszystko bez dofinansowania budżetowego...

Powiększyliśmy listę instytucjonalnych członków wspierających TNW. Utworzyliśmy dodatkową listę indywidualnych członków wspierających. Są nimi dziennikarze zajmujący się nauką. Oczekujemy z ich strony popularyzacji naszych działań, ułatwienia kontaktów ze społeczeństwem. Indywidualni członkowie wspierający płacą składki w takiej samej wysokości, jak my wszyscy, nie muszą być profesorami.

Chiny

W 2019 roku wczesną wiosną dostałem pocztą elektroniczną list zaczynający się od słów „Komunistyczna Partia Chin oraz władze prowincji...” – nie czytałem dalej uznając, że to jakaś pomyłka. Gdy parę tygodni później porządkowałem pocztę, zrobiło mi się głupio. Bo to był bardzo uprzejmy list zapraszający na

lokalną imprezę i do wystąpienia na jej otwarciu. Należało jednak odpisać. Zrobiłem więc tak: napisałem uprzejmy list przepraszający za spóźnioną odpowiedź i uzasadniłem to tym, że to jednak była pomyłka. Na to dostałem natychmiast (!) odpowiedź: „jaka pomyłka? zapraszamy, na nasz koszt pobyt i dopłacamy do kosztów podróży”. Trzeba więc było pojechać, to było Changsha, takie niewielkie w skali Chin miasto liczące 8 mln mieszkańców. Impreza fantastyczna, organizacja fenomenalna, pojechałem z żoną i po konferencji spędziliśmy parę dni w Szanghaju, którego przedtem nie znaliśmy. Zaraz potem, całkiem niezależnie, dostałem podobne zaproszenie do Nanjing. To nadzwyczaj ciekawe miejsce, konferencja też ciekawa, a wkrótce później zaproszono mnie do Ningbo. To była inna sprawa, nie konferencja, a kilka spotkań mających na celu nawiązanie współpracy naukowej. Niebывała seria, nadano mi honorową profesurę Uniwersytetu Technologicznego w Ningbo i utrzymujemy kontakty. Tam mogłem wziąć na koszt Organizatora, kolegę-profesora z Polski, więc wziąłem Jacka Michalika, wicedyrektora Instytutu Chemii i Techniki Jądrowej w Warszawie. Obydwaj bardzo byliśmy zadowoleni z wyjazdu. Były plany na rok 2020, lecz przerobiono je na imprezy *on-line*. Nakręciłem kilka krótkich filmów, które potem były tam wyświetlane na otwarciu imprez (*on-line*).

Byłem wprawdzie przedtem na kilku konferencjach w Chinach, ale dopiero teraz naprawdę zobaczyłem ich nieprawdopodobny postęp technologiczno-cywilizacyjny. Nie dziwię się, że USA denerwują się, bo Chiny już ich wyprzedziły! Po miastach jeżdżą elektryczne samochody i skutery, każdy obywatel ma smartfon, którym płaci w sklepie, margines biedy prawie zlikwidowano, gdy w USA różnie... Z Szanghaju do Pekinu jechaliśmy szybkim pociągiem – 1308 km w ciągu 4 godzin i 20 minut (najszybsze jadą o 20 minut krócej), w Pekinie w 2019 roku były 23 linie metra (35 lat temu nie było nic), smog w Pekinie odszedł do przeszłości, bo zlikwidowano elektrownie węglowe wokół miasta. I tak dalej. To jest dzisiaj nowoczesne państwo, my w Europie tego nie wiemy, nikt nas o tym nie informuje! Chińczycy planują budowę szybkiej kolei do Europy (przez Stambuł i Budapeszt do Londynu) – mniej niż dwie doby ma trwać podróż. Głównie idzie o transport towarowy, oczywiście.

Jeszcze niedawno profesorowie z Europy byli werbowani do USA, kuszono ich warunkami finansowymi i świetnie wyposażonymi laboratoriami. Teraz tę funkcję przejęły Chiny, naprawdę. Nie mam na myśli swoich „przygód” wyżej przytoczonych, ale znam Noblistę w dziedzinie chemii, który najpierw ze Szkocji pojechał do Kalifornii, a teraz ma dwa zespoły w Chinach i jeden w Australii. O Australii nic zupełnie nie wiem, prócz tego, że byli tam moi koledzy i chyba dobrze im się wiodło. Ale Chiny!?

Systemy badań naukowych: feudalizm, kapitalizm, liberalizm

Mój promotor, profesor Wiktor Kemula, dawno temu, jeszcze w swoich czasach uniwersyteckich miał „przygodę”. Jego współpracownik poczuł się niedoconiony we wspólnym osiągnięciu (przepraszam, nie podaję personaliów, *de mortuis*

nil nisi bene). Jako członek PZPR³¹ wspólnie z innym, partyjnym kolegą dotarli do pana Jerzego Urbana, który „wałnął” obszerny artykuł pt. *Feudalowie i wasale* (w „Polityce”, chyba). Zrobiło się głośno o sprawie. Od wielu osób słyszałem komentarze, raczej mało korzystne dla młodego adiunkta, ale nie o tę konkretną sprawę mi teraz chodzi, a o system prowadzenia badań naukowych, który z feudalizmem miał wiele wspólnego. To było tak, że członkowie zespołu Pana Profesora mogli ze swoimi pomysłami do niego się zwracać, ale nie nawiązywać współpracy między sobą, to należało do szefa. Ten konkretny przykład warto wspomnieć, bo szef był uczonym dużego kalibru, więc był to „feudalizm oświecony”. I mało kto narzekał. Pamiętam swoje rozmowy z Promotorem. Gdy wymieniałem jakiś problem, to On od razu mówił o tym, co mu w sprawie akurat przychodziło do głowy, potem zmieniał temat na jakąś dygresję, by za chwilę powrócić do sprawy głównej i wysunąć pomysł całkiem inny od tego pierwszego. Potem znowu dygresja, jakiś trzeci pomysł wyczerpujący możliwości i „no dobrze, do widzenia, niech Pan tak zrobi”. Cokolwiek bym wybrał, zawsze mieściłem się w zakresie wymienionym przez szefa. To był taki system, naprawdę, nie skarzę się na prof. Kemulę, był świetnym promotorem.

Gdy teraz uczestniczy się w konferencjach naukowych większego kalibru, to wykłady plenarne często wyglądają tak: piękna prezentacja, mnóstwo wyników a na zakończenie fotografia licznego zespołu, którym wykładowca kieruje (kilkadziesiąt osób?). W samym wykładzie nacisk na „produkty” badań, jeżeli można to wraz z ich ceną (*impact factor* czasopisma). To jest model kapitalistyczny, najczęściej poparty listą instytucji finansujących te badania. Ten model przyszedł do nas z USA i jest chyba najbardziej teraz popularny. Opiera się, oczywiście, o fundusze zdobywane na badania, więc szef zespołu musi być skuteczny w tym zakresie. To po pierwsze. Po drugie, zespół jest bardzo wrażliwy na zmienną koniunkturę, a ta z kolei bywa determinowana przez urzędy zamawiające badania lub przyznające granty. Zatem bardzo dynamiczna struktura, związana z aktualną koniunkturą.

Osobiście wolę model liberalny, w którym każdy z członków zespołu ma prawo swobodnego doboru współpracowników, o ile, rzecz jasna, nie koliduje to z innymi zobowiązaniami kooperacyjnymi. Jednak ten system jest chyba najtrudniejszy do skutecznego stosowania. Po pierwsze, współpracownicy nierzadko mają tendencje „kapitalistyczne”, zmierzające do przejęcia powierzonej im tematyki i podejmowania samodzielnych starań o granty. Nie sprzeciwiam się próbom usamodzielnienia, nie o to tutaj chodzi, raczej o swego rodzaju zabór powierzonego tematu. Delikatna sprawa, ale dysponuję przykładami, drobnego i grubszego kalibru. Model trudny, ale, moim zdaniem, najbardziej przyzwoity i wart praktykowania.

Gdy rozejrzeć się po świecie, to najbardziej chyba (?) skutecznym systemem jest ten feudalny, jakże pięknie prowadzony w MaxPlanckGessellschaft... Nie można wiele zarzucić amerykańskiemu kapitalizmowi, pod warunkiem wszakże zapewnienia sprawnie działającej dynamiki systemu. U nas zmiana miejsca pracy, nie mówiąc już o miejscu zamieszkania, to jest problem niełatwy, więc pełna im-

³¹ Przepraszam, nie chcę nadawać sprawie posmaku politycznego, jednak akcja przeciw szefowi takiego kalibru wymagała odrobiny dodatkowej odwagi...

plementacja systemu amerykańskiego jest nierealistyczna. A model liberalny? Nie ma chyba wielu zwolenników, a szkoda. Bo mógłby być wdrożony przez uczelnie i instytuty, przynajmniej w pewnym zakresie. Pod warunkiem przyznania im znacznie większej samodzielności finansowej.

I znów dochodzimy do funduszy – bez nich nie damy rady!

Parę konkluzji

W największym skrócie można powiedzieć tak: po II wojnie światowej uznano, że jednym z warunków skutecznej odbudowy i rozwoju jest postawienie na naukę. Kraje posiadające przedtem badawcze struktury typu akademii nauk, silnie je rozwinęły, pozostali stworzyli nowe. Po wielu latach to rozmaicie wygląda. Oficjalnie stawia się na postęp naukowy, lecz w praktyce wygląda to różnie. Nasza, polska sytuacja jest tu ciekawym przykładem, Szanowni Czytelnicy wiedzą wszystko na ten temat. Zaś ogólne zasady się nie zmieniły. Kraje ambitnie stawiające na rozwój (Chiny, Iran, Indie – przykładowo) naukę umieszczają na czołowym miejscu. I doskonale na tym wychodzą.

W społecznych rankingach „profesor” nieodmiennie zajmuje najwyższą pozycję. Ciekawe, jak długo tak pozostanie. Bo znaczenie tego terminu się zmienia z czasem. Najpierw były dwa tytuły profesorskie: nadzwyczajny (ten niższy) i zwyczajny. Oba nadawane w skomplikowanej procedurze kończącej nominacją przez prezydenta RP. Potem zlikwidowano ten podział i pozostawiono jeden tytuł „profesora”, do dziś nadawany przez prezydenta. Tytularnych profesorów nazywa się czasem belwederskimi, od Belwederu, gdzie dawniej ceremonie miały miejsce. Po drodze do tytułu należało uzyskać stopień docenta, nadawany przez odpowiednią radę naukową. Nie muszę dodawać, że oba te tytuły były w środowisku cenione i pożądane. Pierwszą zmianą tej sytuacji były tzw. docentury marcowe. Władza, po wydarzeniach marca 1968, „sypnęła” znaczną liczbą stanowisk docenta, przyznając wiele z nich osobom politycznie zasłużonym. Robiąc przy tym krzywdę porządnym członkom społeczeństwa, zasługującym na awans bez dodatkowych uzasadnień politycznych. To szczęśliwie rozeszło się „po kościach”, ale moment przykry był. Potem, w licznych dyskusjach telewizyjnych wykorzystywano dziwnych docentów (podejrzewam „marcowych”), więc ten termin bardzo stracił w społecznym odbiorze...

Tytuł profesora także stracił i też wskutek zabiegów politycznych. Idzie o tzw. cichą rewolucję adiunktów – bardzo zaangażowanych w ruch Solidarności 1980 na uczelniach, na ogół chwalebny. Ale mieli swoje osobiste ambicje i nie mieli nic przeciw temu, by tytułować ich profesorami. Efekt znany: są profesorowie tytularni, jak dawniej nominowani przez Prezydenta, ale także osoby bez tego tytułu, zatrudnione na stanowiskach profesorskich i mające prawo używania tytułu „profesor” w okresie zatrudnienia na tym stanowisku. Taki, swego rodzaju, odpowiednik dawnego „docenta”. Nie uważam tej sytuacji za korzystną. Profesorowie bez tytułu, ci najlepsi i cenieni w środowisku, nie muszą przechodzić przez to nieco zawstydzające stadium, i tak wkrótce staną się pełnoprawnymi, tytularnymi profe-

sorami. Można było, jak sądzę, tę sprawę załatwić lepiej. Ale nie sprzeciwiam się *status quo*, nie postuluję też zmian, tylko łagodnie komentuję...

Wielokrotnie uczestniczyłem w rozmaitych dyskusjach na tematy wyżej wspomniane i inne związane z reformowaniem nauki. Z urzędu lub ochotniczo, zawsze z optymizmem i nadziejami, choć na ogół bez sukcesu. Więc satysfakcję mogłem mieć, raczej, z poczucia gorliwie spełnionego obowiązku, niż z innych powodów. Wspomnę tylko jeden przykład, z wielu sytuacji, w jakich przychodziło mi działać. Ten przykład związany jest z początkowym okresem działania pani profesor Barbary Kudryckiej w roli ministra nauki. Rozpoczęła ona z rozmachem. Zorganizowała pakiet otwartych konferencji a także powołała zespół do opracowania założeń reformy nauki i szkolnictwa wyższego. Było to 16 osób, które podzielono na dwa 8-osobowe zespoły pracujące, odpowiednio, nad nauką i edukacją. Ja znalazłem się w tym pierwszym, pracowaliśmy przez dwa miesiące spotykając się raz w tygodniu. Wiele kwestii omawialiśmy, nie ma tu miejsca na szczegóły, ale jedna sprawa łączyła wszystkich: warunkiem jakiegokolwiek reformy jest dodatkowe finansowanie. Powtarzaliśmy to na każdym zebraniu. I co? I nic...